

Józef Mehoffer 1899

CHIMERA — 26.

TREŚĆ

TOM IX. ZESZYT 26. — XI/MCMV.

Litografię okładkową odbito w pięciu kolorach w zakładzie W. GŁÓWCZEWSKIEGO w Warszawie

Światłodruk z rysunku F. KHNOPFFA wykonano w chemigrafii B. WIERZBICKIEGO; autotypie i cynkotypie — w zakładzie TOW. AKCYJNEGO S. ORGELBRANDA SYNÓW w Warszawie.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“

Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie:
tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, autotypie — TOMASZ STANKOWSKI, okładkę — FRANCISZEK ADAMCZEWSKI.

Pod zarządem PIOTRA UKLAŃSKIEGO

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

Powieść o Udałym Walgierzu.

III.

Spod głuchej męki wstał rycerz rano. Głęboki lęk ozionął serce upadłe i żal, niebaczny na wywody rozumu. Dokądkolwiek zawrócić wolę, nie ratunek się znajdzie, lecz wątłą mgłę obawy. Raz wraz przekosi duszę trwoga, jak dreszcz, co się z mokradeł wylęga. Piersiom rycerskim brak tchu. Z ręki omdlałej czyn wylata...

Zatroskał się głęboko Mściw: pod jego dachem dziwożona piersi koniądza dusiła... Pod jego dachem gościa serce jest oczynione i od strzygi uczynek został zadany.

Siedli do rady towarzysze i ugwarzyli gorącem słowem, że trzeba, nie tracąc czasu, iść do wróża po odczynienie.

Szli tedy wnet wszyscy czterej we święte tęgobory, w puszczę Łysicy. Zdążali chyłkiem, żeby ich zaś nie

dojrzał świadek, a nie doniósł niemcom z eremu, co u krańca puszczy siedzą. Brnęli woje brzegiem strumienia Czarnej Nidy, urodziwemi wądoły, wśród olch i świerków, po smugach mokrawiny, kędy się żywa woda w wysokich trawach kręgiem-kręgiem, wstęgą-wstęgą wije. A gdy się rozdzieliły strumienie i rozeszły, ten ku Strawczanej, a tamten ku wielkiej górze, ruszyli za środkowym, co po ostrych kamykach, po rudych mchach z uroczym szmerem pląsa. Skacze tam strumień z weselem w głębi swego łożyska, bełkoce pośród koślawych pazurów jodłowych, biega zdyszany to tu, to tam na obraz młodego a zdrowego ogara.

Weszli za nim rycerze w pustosz, w ciemną i głuchą knieję. Cichy wiatr nuci tam samemu sobie, kołysząc się w spławach jedli zielonych, co zwisają ku ziemi. Cichy tam wiatr, pachnący wiatr błądzi, stąpa, wzdycha w puszczy. Kiedy niekiedy sfrunie na trawy. A trawy tam mokre, wysokie, rubinowe spodem od ukrytej jagody, a wielobarwne po wierzchu. Trawy tam modre i rumiane, złote i białe od uśmiechów dobrotliwej matki, świętej Pogody.

Przywiążą wiciądze konie do pniów, odpaszą miecze, zdejmą skórzane kaftany. Strach pada w dusze.

Idą ostrożnie w głęboki bór.

Zwały na drodze ich, wykroty, doły. Tramy przed czasy upadłe gniją w wieczystym pokoju. Zwalił je wicher z zachodu lecący, straszliwe skoki Śwista-Pośwista, gdy, pędząc na wielkich koniach grzywiastych chmur z grzmotem pod kopytami, a piorunem u lewego boku, deptał puszcze. Ponad zgniłemi truchłami jodeł plenią się cudne bugaje młodocianych jodełek, chciwe na wodę, ciche potomki Lela-Polela. Olbrzymie głazy, obleczone w grube kożuchy mchów, we śnie tam śpią nieprzespanym. Szemrze wśród nich ukryty głos strumyka. Wiedzie pogwarem w górę a w górę, pod szczyt, jak młody, wierny pies.

Aż oto we dwie strony odchyli się zwarty, jodłowy bór i ukaże się widnia polany. A na polanie buki niezmierne, buki głuche, buki piorunowe kępą samotną królują. Głowy ich, co burz tysiącem wzgardziły, zawżdy we mgłach. Ramiona konarów krzyżują się pomiędzy sobą. Plączą się twarde rózgi i dotykają liście.

Zdala tu płyną podróżne chmury nocować na widłach konarów, owijać się o wielkie śniaty i śnić chłodnemi rankami o ziemi nisko rozległej. Z gałęzi buków rozchodzą się i zstępują w różne strony na garbatą i płaską ziemię dzikie, srebrnosiwe pawęże gradowe, posępne białe kudły śnieżyc i bure, senne kądziele dżdżu. Tam się w stalowych gałęziach hodują czerwone wstęgi piorunu. Pnie ze wszech stron otacza wielki tyn. Zaparte w nim na głucho wrót wierzeje.

Przyszli czterej do wrót i kołacą z łoskotem, — raz, drugi, trzeci. A gdy raz trzeci kołacą potężnemi pięściami, cicho się wrótnie rozsunęły na prawo i na lewo. Święta przed nimi kontyna.

W cieniu buków starych-prastarych kryje się jej wysoki dach i ściany z cisowych śniatów. A wkoło niej trawy a trawy. Niedeptany, kwietny łan, niwa bodze poświęcona. Kości tam koni Swaroga w ziołach bieleją. Grzbietu koni Swaroga nie dosiadł przenigdy człowiek. Nie okiełznał ich uzdą jeździec, ani opasał popręgiem. Nie znieważył ich rzemień kiścienia, ani dotknęło pogłaskanie. Nie obciążała ich przenigdy praca, ani ogłuszył zgiełk boju o ludzkie krzywdy.

Żyły tu wieszcze rumaki w trawniku świętej Pogody. Wodę piły, gdy wola, ze źródliska wiecznie żywego Czarnej Nidy, co z głębin góry bije, a spod przyciesi bożnicy baniami przejrzystemi wytryska. Starość je do snu wiekuistego śmiercią uśpiła. W owych się ziołach, na puchach kwiatów, pod bukami układły, spać z dobrawoli na wieki.

Swarog rozwiązał ich żyły, a piękne kłęby i lśniące łopatki w zwłoki gnijące zamienił. Lel-Polel obmył czystemi wodami z chmur na bukach osiadłych kości białe, krew struchlałą a ciało zgniłe połączył z ziemią i niewidzialnemi drogami poniósł do głębokich korzeni bukowych. Świst-Poświst osuszył, co się ostało, i prochem życie rodzącym rozniósł po puszczy, a rozdał kwiatom i mchom.

Rogi tam, kręgi, piszczele lotnych nóg świętych jeleni puszczańskich, które na dni ostatnie starości przyszły były paść się w ogrodzie — i, strudzone długością żywota, zasnęły u drzwi kontyny.

Kości tam białe i kielce wygięte wieprza dzikiego, co bezpiecznie przychodził z pustyni leśnej gnić pod progiem wysokim... Kości tam wilka, co stary i zapadłoboki, z żelaznemi od głodu ślepiami, a pod okiścią zimową przemarzły, przywłóczył się na chwilę ostatnią...

Śnią ponad źródłem, co, jak serce w piersi człowieka, wiecznie w łonie ziemi bije, kępy dzięgielu. W pierzastych liściach rozkwitł kwiat. Tajemny kwiat, co tynem bezpiecznym otacza dom człowieka od uroku czarownicy... Tajemny kwiat, co za dnia weseli widokiem swoim upadłe serce, a nocnym zapachem odgania cień chodzący dokoła węgłów i niweczy wielki strach nocny pod strzechami.

Patrzą ku słońcu niezmrużonemi oczyma promieniste złocienie. Jasna ich moc za siódmą górę a za dziesiątą rzekę odgoni widmo złośliwe, jeno o świcie wstań, gdy jeszcze łąka rosą opita, rwij jasne główki złocieniowe i pilnie noś na sercu.

Pod ciemnym tynem jakgdyby poblask na wodach zorzy wieczornej... Lecz to nie zorzy poblask na wodach, jeno ciemno-niebieskich dzwonków zatoka. Na powikłanych odnóżkach, jakoby na rusztowaniach ciesielskich, przedziwnej siły wiszą dzwony, w które ranna zorza

dzwoni. Skłonią się barwicą swoją oczom przybyszów dzwony z zorzy porannej przez wiatr i słońce tkane. I pozdrawiają oczy przybyszów nadobne kwiaty plemieniu ludzkiemu przychylne, a darowują oczom tę barwę, której ponad wszystkie inne trwożą się dziwożony.

Wielobarwne motyle, rzekomo latająca łąka, snuły się nad kwiatami, ssąc z nich tajemne pokarmy. Jaskółki śmigały żywo dookoła ścian bożnicy z piskiem, świadkiem radości żywota. Znosiły żer pisklętom do gniazd przytulonych u szczytu kontyny pod głowicami Swaroga. Szerokie, boczne podstrzesza świątyni pełne były gołębich gniazd. Gruchanie płynęło stamtąd dwiema żywemi falami. Płomienista wiewiórka przemknęła po gałęziach i skokiem znikła w szczytowym dymniku.

Jakoby na jej znak, na oznajmienie stanął na progu dziad prastary. Kudły siwe pasmami spływały na jego ramiona, a biała broda na piersi. Przeraźliwe i groźne oczy miotały ogień spod wielkich brwi. Zgarbiony był, wsparty na kiju, odziany w łachman. W ręce dygocącej, jakoby z zimnicy, trzymał kazubek z osikowej kory, a rubinowe jagody sypały się z naczynia w trawę.

Ujrzawszy obcych, straszliwych ludzi, wejście sobą zaparł i rozkrzyżował ręce.

Rzekł Mściw pokornie:

— Wróżu, my swoi...

Milczał.

— Dziadu, patrz na mnie.

Spojrzał na niego wróż i długo przebija oszczepami oczu. Aż wyszepce:

— Krzyż na twej piersi.

— Krzyż na mej piersi, lecz w sercu bogi.

— Czegóż to chcesz?

— Żebyś z jednego spomiędzy nas urok odczynił.

Zwiesił dziad głowę na piersi. Duma. Mamroce:

— Odczynić urok...

Aż się nagle poderwie, jak jastrząb ugodzony strzałą. Krzyczy:

— Idźta borem - lasem ku widni, idźta do niemców, co dzwonami strasznemi w knieję biją! Niechże ta woma urok odczynią.

Chwieje się jego stara głowa. Usta wykrzywia i oczy bielmem zawłóczy głęboki ból. Splatają się koślawe, sękate ręce. Śpiewa samemu sobie:

— Spaliły kloc...

Kloc stary, kloc wielgi, kloc święty w dymie, w dymie. Ogień go źre...

Pobiły żelaznemi broniami święte jelenie. Podusiły ptaki - krogulce. Gniazda zdeptały nogami. Zmaściły trawy końskiem kopytem i wycięły kosą świecącą...

Święte buki wyrąbały do cna żelazną siekierą. Upadł na ziemię buk... —

Zakołysał się, nikiej gałęź od wiatru. Pełne łez zamknął oczy. Zaszlochał:

— Świstu - Świstu - Poświstu...

Chodzisz stronami, borami a po górzystych wierzchołkach. Grzmot lata po ostrych skałach, a wiater maści lipy po górach. We wody pieron twój bije, w kamienie, w chałupy, w kostnice.

Pali, tratuje...

Przychodź...

Polelu - Polelu - Polelu...

Bij z wierzchołka, z wysoka! Strzelaj czerwoną procą!

Polelu! —

Wyciągnął ręce w świat i począł wzywać:

— Świstu - Świstu - Poświstu!

Przychodź!

Wielgi, wielgaśny, okropny!

Latasz teraz turniami, po wysokich, po górach. Śmigasz po siołach, po wodach, po żaliskach dalekich.

Uderz we wielgie we skrzydła, w szerokie!

Przychodź!

Bij krzywym nosem i rwij ostrym pazurem. Zakwicz, zaskowycz, zawyj, jako za małemi wilczyca w kniei.

Rozdujesz płomyczek mały-maluśki, rozdmuchasz we skrzydło tylośne, jako połać borowa od Jeleniej góry po Kamień.

Będziesz se chybko polatał nad dymem, będziesz se fruwał i wartko wiał krzyżami w ogniu, szubienicami po górach.

Będziesz se walnie tańcował we zgliszczach, w popiołach będziesz się bawił.

Będziesz se poświstywał dadana-da w piecowiskach wyziębłych, da na wysokich na grobach... —

A gdy śpiew dziada stał się cichy, a gdy ręce jego w przestrzeń podane stężały, gdy oczy w przestrzeń wbite zastygły, — daleko—daleko—daleko zaszumiał górski bór. Rozszedł się w puszczy jodłowej osłuch wichrowego polotu. Zdało się tym, co słuchali, że głucha ziemia stęka od wielkich kroków, gdy idzie przez bory lasy wezwany wicher-bóg. Cięciwa jego łuku tęskny wydaje dźwięk, a kołczan pełnostrzały szeleści nad kniejami. Padnie na jedle, na modrzewie, na cisy i na sosny podmuch-szum. Poda go knieja kniei. Wdyma się głos na górach, rozwija się, jako chorągiew bojowa, jako proporzec królewski.

Uśmiech na twarzy dziada.

A skoro buki, piastuny chmur, buki wzgardliwe, buki ponadleśne w harfiany głos uderzyły, padł na oblicze wróż. Kudły jego długie rozwiały się w badylach traw i wpełzły pomiędzy kwiaty. Siwy włos okręcił się dokoła szypułek, zahaczył na odnóżkach i plewach. I zstąpił

powiew Świstu-Poświstu z gałęzi buków na wyniosłe, na liliowe, na białe, rumiane i żółte zioła. Zakołysał się kwiecisty łan. Westchnęła od wonnych szmerów, od łaskawych szelestów, zagrała ze wszech strun łąka bodze poświęcona. A wonny powiew, jakoby dym, szedł przez szerokość tam i sam — ni to westchnienie, ni to pokłon, ni to uśmiech ocknionej dzieciny w majowe rano, ni to zalęknienie starca, co wita wchodzącą w progi śmierć. I wraz z zagajem badylów, wraz z wiotkiemi kiściami tysiącznika, chwiały się tam i sam włosy rozwiane wróżowe.

Gdy zamilkł powiew i ucichł szmer, a trawy rozkołysane w ciszy natchnionej nieme i czekające stanęły, dźwignął się wolno dziad. Twarz jego jako u trupów, oczy nie widzą, jak za dnia oczy sowy. Zgrabiałe ręce szukają w przestrzeni. Zwróciła się skostniała twarz wróża w koniądza Walgierza stronę, a przepaściste oczy uderzą weń, jako krzemienne groty ślepych, polotnych strzał. Szepcą uschnięte wargi:

— Woju wysoki...

Zła twoja, woju wysoki, dola.

Hej, bardzo zła twoja dola!

Słychać, jak ziemia w głębokości nad tobą głucho stęka, a woda nad tobą szlocha.

Sława twoja głęboko wzdycha, — och, głęboko, a nisko twoja sława w lochach płacze, och, bardzo nisko...

Wysoko twoja chwała polata, szeroko, daleko wieje. A chwale twojej końca niema. Idź, woju mocny, do stoku, co haw ze ziemi bije, nachyl się nisko, nisko nad wodą. I patrz. A skoro samego siebie zobaczysz, przypatrz się, woju, dobrze, żebyś, widzisz, samego siebie poznał po czasach...

IV.

Smieje się w głos z bredni dziadowej.

Pędzi w cwał.

W konie! W stronę tynieckiego zamczyska, ku słońcu! Za nim dwaj towarzysze: Wydrzyoko i Nosal. Miecze trzaskają w strzemiona, parska biegun wypoczęty.

W piersi Walgierza serce radośnie łomoce. Tęskno mu do Wisły - wody, do widoku gór o świtaniu, gór, co daleko we mgłach błękitnieją. Obcą mu każda puszcza, długą mu każda droga, a ziemia zda się wielka nad świat. Kiedyniekiedy przemknie się w dreszczach cielesnych myśl urocza, jak widok łąk wiślańskich w podwiośnie:

— W cisowej komorze czeka, w cisowej Cudna żona śni. W podziemiu jęczy koniądz żupy wiślickiej — Wiślimierz...

I przyjdzie wnet do ucha, nieczekany w końskim tętencie, słabego szept wietrzyka:

— Uczyń mu dobrze, woju wysoki... Puść mu winę z dobrawoli, a karę zaklętą skróć. Odemknij kluczem ciemnicę. Zajrzyj w mrok, wejdź. Straszny jest mrok ciemnicy. Wyrwij słabego z kuny żelaznej. Weź-że go, weź w ramiona... Ugość go chlebem, napój go miodem. Zawrzyj z nim pobratymstwo na życie i śmierć przeciwko polskiemu i przeciwko czeskiemu królowi. Puść-że go, puść na koniu bogato siodłanym w Wiślicę, w starą ojczyznę...

Serce rycerza drży. Oczy się śmieją ku niebu A myśl, jak zapach kwiatowy, dymi się w duszy:

— Takem zaiste postanowił. Tak mu uczynię. Przez twą przyczynę, Cudna żono...

Jakby w nagrodę za ową myśl, jakby w przedziwnem powinowactwie z postanowieniem, — rozchylą się het-het lasy szerokie. Wiślańskie łęgi! Widać z wyżyny kwieciste, nieogarnione oczyma. Wierzby tam ponadwodziu rosochate, wikle się srebrzą w porannej mgle. Daleko dumają kępy sokorów, daleko w błękitach toną białe brzozy. W brzegach roskosznych płynie połyskliwa Wisła-woda. Toczy się popod wzgórza okrągłe i chlupie w gliny żółte osypisk, toczy się popod skały wapienne i wstęgą błękitu ich białe stopy otacza. Wraca się w łąki i zanurza się w lasy... A nad nią krzyk wiosenny czajek. Na skale białej, na skale wysokiej zamek drewniany basztami w niebo strzela.

— Tyniec widać... — szepcą druhowie.

Weprą rycerze żeleźca w boki biegunów i sadzą wskok łąkami kwietnemi. Wpław płyną przez Wisłę-rzekę. Skoro zaś bystry koń strząśnie ze siebie wodę na brzegu, uderzy Walgierz w róg. Uderzy raz, uderzy drugi w hejnał radosny, w dźwięk rodowy.

Padła z łoskotem brona nad rowem. Rozwarły się cisowe podwoje...

Cudna w nich żona!

Stoi we słońcu. Słońce w jej włosach jasno-białych nurza się, jakoby w sobie samem.

Jakże jest piękna!

Promień słońca wiecznego, gdy spadł z niebios na ziemię, gdy ziemię czarną nawiedził i spoił się z nią uściskiem, — zaprawdę w nią się przemienił.

Nie wierzy oczom swym Walgierz Udały. Nie wierzy uszom swym. Uśmiecha się do widziadła sennego, do duszy swej, do wieszczycy na jawie stojącej.

— Tyś to jest zaprawdę dusza moja... — szepta samemu sobie.

Szybkiemi kroki przypadła do strzemienia rycerza. Ręce do jego żelaznych ramion wyciąga...

Dźwięczą bale lipowe, w prastarej puszczy ciosane, pod ciężarem stopy żelaznej zadumanego, kiedy szepcąc, nie widząc w komnaty zamkowe idzie. Szumią nad jego szyszakiem drzewa zamkowe. Pachną ku niemu z dziecięcych lat znajome trawniki. Chwieją się w jego stronę pławiny domowych krzewów.

Nie widzi nic, nie słyszy nic...

Och, szepty teraz ciche...

Tęskota już skończona, już ukojone westchnienia i uschłe łzy. Już się oczy w oczach zamknęły, niby obłoki żeglujące od krańców świata — w głębinach jezior. Słowa nurzają się w słowa, usta nurzają się w usta. A każde słowo jest jako dym kadzidła, każde westchnienie pada do kolan żony, do stóp się schyla, na twarz upada we czci, ślad jej całuje. Nazwy nieznane, pogwary cudze, rzekomo z zaziemskiego języka spływają z warg. Wciąga rycerz oczyma roskosz widoku sprzętów i szat żoninych,

a ręką, drżącą od zachwytu, od szczęsnej trwogi, głaska długą, głaska jedwabną, rozpuszczoną burzę włosów.

Westchnął pocichu ze szczęścia.

Zakrył oczy, stanął i duma.

Duma o tem, że niewiadome moce dały mu oto taką chwilę. Duma o tem, że nie napróżno uszedł z obozu i polskiego zdradził króla, bo oto ziścił się sen, spełniła tęskna żądza. Dobrze uczynił... Duma o włosach żoninych, pieszcząc je ręką chciwą, i sen śni o jej oczach zaćmionych marzeniami, patrząc się w nie bez końca. Stał się bezsilny, dobry, szczęśliwy, jak ptaszek leśny, co na gałązce kalinowej śpiewa w boru. Stał się łaskawy, jak kwiat na błoniu od wiatru kołysany.

Wiedzie go żona cicho, cicho...

Wiedzie go żona sennemi kroki. W tajne idą sienie, w alkierze, w bokowe świetlice. Do baszty, do baszty, gdzie z dawien dawna ulubiona izba ich otworem stoi...

Odpasał koniądz po drodze i rzucił na ziemię ciężki miecz. Zwalił z ramienia puklerz olbrzymi. Szybko pozdzierał rękawice żelazne, co lubej dłonie uwierają. Rozprzęga prędko sprzączki blachownic pancerza. Rzuca za siebie szłom, żeby nanośna stal pocałunkowi jasnych oczu nie wadziła. Już twarda przyłbica nie stoi między bezsilnemi czołami...

Aż oto próg miłosnej świetlicy.

Pozdrawia Walgierz oczyma roskosznice - ściany i uśmiech szczęścia posyła ciemnej, bizantyńskiej kotarze.

Wstrzymał się u proga — w modłach duszy, jakoby w gęstym obłoku.

W owej to chwili rzuci niewidzialna ręka rzemienny stryk na jego szyję.

Zdusi pętlica gardziel rycerza.

Mrok w oczach!

Strach!

Płaty krwi, zielone krzyże, koła ogniste. Huk w głowie!

Runął olbrzymi Walgierz na wznak. Ciemno mu w oczach. Tchu niema!

Błysk myśli:

— Śmierć nagła moja...

Chichot nad nim żonin — i jeszcze czyjś. Przez bogi! — i jeszcze czyjś... Cienki puinał przerażenia zwolna, nawskroś idzie przez serce:

— Wiślimierz!

Pochwycił rycerz Walgierz dech w piersi. Straszliwy gniew szarpie się w sercu. Pierwszą myśl siepie z pochwy mózgu, jak miecz:

— Jeszcze się wydrę!

Ale nim oczy rozewrzeć, sto rąk skrępuje mu ramiona i lędźwie rzemiennemi pętami, sto kolan przydusi piersi. Wloką go za bujne włosy. Wykręcili z jabłek ramiennych ręce obie i spoili łokcie rzemieniem. Spętali nogi w kostkach i kolanach, a w usta wbili z pakuł tłok skręcony. Ciągną go, dysząc, — tam — ku ścianie. Mamrot tłuszczy. Prędkie a krótkie rozkazy.

A w ścianę wbity żelazny słup.

Kuny przy nim zamczyste na ręce i na nogi, okrągłe skoblice na gardziel i pod pachy. Sprawnie zamknęli nieudźwignione kajdany żelaznemi kluczami. Młoty ciężkiemi zakuli na żywem, zdyszanem ciele sztaby zagięte.

Zaklepali. Na wieki wieczne zaklepali. Na wieki wieczne zaklepali.

V.

Dnie, noce, miesiące, lata...

Długie są dnie Walgierzowe, a noce są nieprzemierzone.

Zstępuje noc. Idzie mrok. Jak wilk zapadłoboki, wychylający się z lasu na łup, na żer czai się mrok... Ciemność pracowicie zatyka wąskie szpary między prętami okiennych krat. Strach pełza po nagich ścianach, zgryzota się wałęsa z kąta w kąt, a bose nogi zmory, nogi z mgły stąpają w ciszy.

Rozsunęła się niespodziewanie wielka zasłona, którą był Walgierz Udały onego czasu na carogrodzkich kupcach zdobył. Blask ognia uderza w oczy — i widok. Tam, w głębi!

W głębi, na skórach niedźwiedzich, w boju na puszczy ręką Walgierza zabitych... Tam w głębi Cudna żona w ramionach leży zwycięscy. Śmieją się w głos oby-

dwoje pośród pieszczoty. Odwraca głowę Cudna żona i mówi w ciemność:

— Więźniu! Więźniu, czy jeszcze śpisz?

Kochanek dorzuci z krzykiem:

— Więźniu, czy śpisz? Zbudź się, ospalcze, i patrz!

Ów milczy, do żelaznego słupa podobien, na którym wisi z dawien dawna. Powieki się raz na zawsze zawarły i oczy patrzą w głębinę nieszczęścia, w jaskinię wewnętrznej ciemności. Wówczas Cudka żona rozepnie pągwice, zwlecze z ramion oświk, szatę zwierzchnią, a gzło rozchyli. Nagiem ramieniem otoczy szyję zwycięscy. Śpiewa mu w czerwone usta miłosną piosneczkę, którą była mężowi dawniej śpiewała. A piosenka jest cicha, cicha, padwanek półszeptany, półnucony o leśnym ptaszku, o słowiczku i o gałązce nad wodą kaliny. Słucha Walgierz piosenki małej, w której, jakoby w kropli rosy, mieści się wszystek świat. A po każdym nawrocie padwanka, a po każdym pocałunku słyszy w ciemnicę swą zlatujące pytanie:

— Więźniu, czy śpisz?

Och, śpi. Zamknięte ma oczy na tryby tak twarde, jak twarde są ogniwa kajdanów. Głowa na piersi zwalona. Palce rąk twardy łańcuch objęły...

Wezmą wtedy oboje szczęśliwi lampę i zstąpią ku niemu z wysoka. Świecą mu płomieniem w oczodoły. Palcami mu dźwigają powieki mocno zawarte. A czynią tak dopóty, aż je otworzy i patrzy w nich ranami śmiesznemi źrenic, plugawym wstydem oczu. Wtedy z nadmiaru uciechy chichocą oboje. Wiedzą dobrze szczęśliwi, że skoro się te oczy rozewrą, już ich zawrzeć nie sposób. Wiedzą, że będą bezsilnie na roskosz ich patrzały, póki nie posną od szczęścia znużeni.

A gdy oni posną wysoko, jego, leżącego tak nisko, otoczą widma bezsenne i zmory wiecznie żyjące. Chodzi

dookoła głowy zabitej widmo ciche, zmora-mgła, a nóż ma w ręce ostry, szeroki. Niemasz miejsca w duszy, któregoby nie zraniło, niemasz chwili dawnej, ani chwili przyszłej, którejby nie pokazało w lustrze ostrego noża. I tak długo, tak długo, póki się ranek nie włamie między kraty okienne i świt jaśnie litosnemi oczyma nie wejrzy w norę więzienną.

Gdy ranek śpiących w roskoszy obudzi, siada Wiślimierz na posłaniu i ciska do stóp więźnia wzgardliwą kość jałmużny, kęs pożywienia z wczorajszego stołu.

Mocny jest głód.

Bardzo jest mocny głód.

Schyla się dumny rycerz i żre łaknącą żuchwą.

Pan pyta:

— Widziałżes szczęscie moje?

Wrosły w łańcuchy nie mówi nic.

I słychać jeszcze pańskie słowo:

— Skoro me szczęście uznasz dobrowolnie za prawe, uszanuję twoją sromotę.

Wówczas Walgierz Udały mamroce:

— Nie szanuj mojej sromoty, nie szanuj...

— Czemu, rycerzu?

— Albowiem, — rzecze, — jestem w kajdanach.

Lecz mówiąc słowa te, Walgierz drży w duchu i niegiętą dłoń trwogi czuje na gardzieli. Smaga się batami słów dawnych, słów dumnych, słów rycerskich, byleby nie dojrzano, jak żebra drżą pod łachmanem. Maca w sobie wzrokiem ducha ranę, źródlisko wieczne, i krew broczącą nieustannie trwożnemi dłońmi osłania.

Wie, co go czeka.

Cudna śmieje się ku porankowi.

Wieniec z kwiatów nadwiślańskich kładzie na jasne włosy. Blisko, blisko podejdzie...

Wyciągnie ku niemu rękę małą i dłoń na czole schylonem położy. Zanurzy palce we włosy, rzekomo ku pieszczocie. Weźmie na usta dawny uśmiech, podobnie jak bierze na ramiona szatę tkaną, a wieniec kwiatów nowych na bardzo piękne włosy. Łagodnym szeptem przedrzeźniać będzie imioniska pieszczotliwe, słowa-całunki i słowa-pogłaskania, które mu niegdyś w usta szeptała.

Wiślimierz wdzieje szatę wspaniałą z bezcenną futra opuchą, szatę, co ją był Walgierz nosił za dni szczęśliwych. Otworzył Wiślimierz skarbiec naddziadów i świętości rodowe Udałego przegląda. Jedne sobie zatrzymał, a inne rozdaje sługom.

Zeszli się słudzy, których był Walgierz w lochu trzymał bezprawnie, nogą popychał dla swej uciechy, psami szczuł z zemsty, pędzał kiścieniem do pracy, jako bydło robocze. Teraz go oni potrącają szyderstwy, smagają batem drwiny, kąsają zelżywem słowem i szarpią nikczemną ręką. Najśmielszy będzie go posiepywał za brodę, targał za uszy, szczypał w policzki. Najpodlejszy plunie z wysoka na jego spuszczone powieki.

A wtedy słychać z wierzchnicy książęcej śmiech Cudnej żony.

Więc oszaleje na nowo, po raz stokrotny, po raz tysiączny głowa Walgierza. Wydarł się z piersi po raz stokrotny, po raz tysiączny wewnętrzny głos, głos, co warg nie porusza, co na podobieństwo krwi żywej płynie z rany włócznią zadanej:

— Przyleć w huku płomiennym, Świstu-Poświstu! Boże-rycerzu! Uderz w shańbione oczy moje piorunem miecza i rozwal gromem czoło plugawe!

Wypal żagwią ognistą nędzną siłę widzenia! Niech już oczy moje nie widzą! Zagłusz nikczemne uszy gromem wojennym! Niech już ogłuchnę na wieki!

Zatop krynicę niewolniczych łez górnemi wodami, Lelu-Polelu! Niech już na wieki ustaną... —

Nie przyjdą ku pomocy bogowie.

Jasny jest błękit niebios, — trwa cisza, — a Pogoda udziela łaski swej Wiślimierzowi.

Tedy Walgierz przeklnie bogi i straszliwą zniewagę ciśnie w niebiosa. Zatrzasło się jego serce i zawarło, — mózg się wywrócił. Ciało, skręcone w kłąb, popadło w bydlęcy sen, w sen niedźwiedzia poszarpanego od stada psów.

Tak miną dnie, tak miną noce.

W godzinach zniewag, o każdej porze dnia, w każdym momencie wieczora Walgierz o jednem śni. O jednem śni...

Pociąga ramieniem łańcuch, pociąga łańcuch... A od pracy długotrwałej, niestrudzonej, stały się ogniwa łańcucha czujące tak samo, jak stawy, ścięgna i więzy ramienia. Wydłużyły się kości, rozciągnęły się żyły i przeszły w skręty żelaza. Dłoń czuje żylami i zna kośćmi każdy ruch ogniw, wie do cna siłę haków. Jest łańcuch niby wydłużona, bolesna ręka. Myśl pod maską snu i pod figurą upadku ciała śledzi wciąż jedno. Tam w górze macica śrubna, wkręcona w żelazny słup... Nie widzą jej oczy, nie dotyka jej ręka, lecz zna ją myśl. Wciąż niestrudzone, bezsenne, obłąkane badanie okrąża ją dzień i noc. Mutra zdaje się spać, jako i on. Nieruchoma jest, jako i on, ślepa i głucha, jako i on. Lecz pod nią śruba, wkręcona w słup, już się od targania porusza. Już się porusza...

Tak miną dnie, tak miną noce.

Aż o wyśnionym północku, gdy zamieć bije skrzydłami w czuby zamczyska, gdy Poświst łamie lasy i rozjuszony błąka się w puszczach, — natężył Walgierz ramiona, porwał dech w piersi, zestrzelił siły, postawił

wszystkę moc kości przeciwko wszystkiej mocy żelaza i wyrwał śrubę ze słupca.

Skrwawiona dłoń błądzi w powietrzu! A u niej łańcuch zwisa. A u łańcucha śruba, jak sztylet zwisa. Nogi w dybach, lewa dłoń w zamku, młoty zaklepana, pod pachami obręcz, ale prawica rycerska swobodnym łańcuchem włada.

Śmiech radości!

Porwał się ze snu Wislimierz. Krzykiem zbudził zamkowe sługi. Strach blady leci w komnaty. Wrzask przerażenia oddaje echo.

Cudna żona w kucki na łożu przypadła. Drży. Wielkiemi oczyma patrzy w więźniowy kąt.

Walgierz pieśni śpiewa. Ciemnej nocy i hukowi burzy dziękuje za chwilę. Woła ku sobie wroga, wzywa go na bliski bój. Ścierwo zniewag rzuca mu w oczy. Idą ku niemu siepacze chyłkiem, kupą, wilczemi skoki, ze wszech stron. Pan ich słowem i obietnicą nagrody podjudza. Rzucą się wraz.

Straszliwe ciosy więźniowej prawicy poczęły rozsiewać śmierć. Łańcuch się zmienił w rozszalałą włócznię, a śruba w koncerz sieczysty i w zdradziecki puginał. Leci na zbirów z wysoka, pada z boku, kołem się wije, z dołu godzi. Pękają czerepy od ciosów wielkiego gniewu, zapadają się piersi, zwisają złamane ręce.

Lecz krótka jest chwila szczęśliwej walki — i przeminęła. Nastała inna. Ręka zbroczona przykuta dziesięćkroć, stokroć.

Pan policzkuje zwyciężonego.

(Dok. nast.). Stefan Żeromski.



MUZYK. Rzeźba K. DUNIKOWSKIEGO.

Wyzwolenka.

1.

Kołysanka na początku.

. . . .

Zmruż oczęta, niewiniątku,
Pościj w Środzie, pościj w Piątku.

W cichym domku, w cichym kątku,
Krakowiaczek przy jagniątku . . .

. . . .

Burz się, burzo, kipiej wrzątku!

. . . .

W raju „pan“ był na początku,
A ty później, kobieciątku: —
Służ! — dla zdrowia, dla porządku!

. . . .

Ideał małżeńskiego łóżka:
Być podkładną, jak pieluszka,
Być podległą, jak poduszka.

Choćby serce ci zadrgało,
Bądź naiwną i nieśmiałą,
Jak naczyńko — świeć pobiałą!

Lekuchniejszą bądź od puszka,
I ciężarną jak mać-stróżka!
Oto ideał sen-dziewuszka!

. . . .

Burz się, burzo! Kipiej wrzątku!

. . . .

Dość po-duszek śpiących w kątku
Dla hygieny, dla obrządku!

. . . .

Cobykolwiek gdzieś się działo,
Ty nie-dzielność wdziej na ciało,
Przysiąż tycia ideałom,

Módl się, na targ chodź z kobiałą,
Bądź okrągłą, jajko-białą,
A o inne troszcz się mało!

Po hesperyd czar-jabłuszka
Nie wyciągaj róż-paluszka!

. . . .

Wzór gosposi, lub kopciuszka!

. . . .

Burz się, domku! wal się, kątku!
Biedz na wolność daj trusiątku,
Według nowego obrządku!

. . . .

. . . .

. . . .

Biel jaj? pieluch? Pal sześć biel ich!



Dość truś, stróżek i kobielich!
Dość po-duszek! W górę kielich!

Dość mam „panów“! Licho strzel ich!
Ideałów dość gazelich!
Trud, niewola — oto cel ich!

. . . .

„Cnót“ apostoł przy mnie wzdycha
I odmawia od kielicha...
Dość!.. I na mnie przyszła krécha!

Czas już wyjść z tego zamątku!
Pora dojść do życia wątku,
Jako było na początku!

Pora rozsnuć elementy
Życia i spleść w nowe skręty!
Szczęść mi, Królu-Duchu-Święty!

. . . .

Długo byłam w domku *cicha,*
Niech mnie w kątek *„pan“ nie spycha!*

Dość! Swobody chcę do licha!

. . . .

„Pan“ piał basem, barytonem,
Solo, duo, trio, gronem...
Dość! Wystąpię ja z bardonem!

Hej! niech burzy się głąb'-fala!
Niechaj słońcem się opala!
Niech od lądu się oddala!

Niech ucieka od łach bieli,
Od mielizny, od kobieli,
Od bielizny, od pościeli!

Dosyć pełzać w kurateli
Ideałów-stręczycieli!
Dość! Popłynę głębiej, śmielej!

. . . .

„Pan“ mi duszę brudzi, wala!
Nie chcę „pana“ mieć brzydala!
Nie ustąpię ani cala!

Zagram sobie dziś czerwone
Sny, jak „pan“ zapalę, spłonę...
Niech śpią żony ciemiężone!

Niech śpi biała małża-żonka,
Niech sylaby życia bąka...
Ja się spalę w ogniu słonka!..

. . . .

Mieć mi każesz na uwadze,
Że, gdzie ogień, tam i sadze:
To ja na to nie poradzę.

Zapalenie sobie przelóż:
Zapał odkrył Prometeusz,
A gasidło — faryzeusz!

Z rozpalonych lic mych nie szydź!
Sam, gdyś lepiej umiał grzeszyć,
Mogłeś ogniem się nacieszyć!

Mogłeś w domu i za domem:
Tu'ś miał kościół, tam — Sodomę...
Życia'ś ziarno gryzł, ja — słomę.

Ślubny anioł prosto z pączka...
Ródź i ródź za bączkiem bączka...
Ach nie! Dość! Minęła śpiączka!

Czułolistną być mimozą
Nie chcę!.. Wierszem (białym!), prozą,
Rymem wołam: precz z tą pozą!

II.

W stały byt ufności nie łóż.
Przejadł mi się „Pan“ (Tadeusz)...
Byt się mieni, jak Proteusz.

Dziś nie trzeba mnie już bawić:
Sama umiem się nabawić,
Sama umiem się wybawić.

Ztąd wesele, a nie smutek
Powinienbyś mieć za skutek,

A ty smucisz się, głupiutek...

. . . .

Od wszystkiego trzymać zdala
Chciałbyś ją, bo wszystko kala?..
I cóż da ci taka lala?

Musisz nie z nią: za nią chodzić,
I jak z jajkiem się obchodzić:
Ono umie tylko rodzić.

Umie-ż pytać? odpowiadać?
Zadać? zgadać? badać? władać?..
aje — tylko tłuc i zjadać.

Stuknąć, roztłuc jajka denko,
Jeść na twardo, średnio, miękko...
Taką Lala jest panienką..

Połowiczną, albo całką
Lubisz, jedz: jedz żółtko, białko,
Sól lub przaśne łykaj ciałko...

Sprawiedliwość jej tu trza dać:
Umie psuć się, staczać, spadać,
I kurczęciu życie nadać.

. . . .

Czasem jaje — hyc na konia...
Ale zaraz mu ciotunia
Krzyczy: — Stępa! Wolno, Niunia!..

. . . .

Tępe niunie od zła gorsze!..
Ze mną tempo *bierz najskorsze.*

Ja tam męstwem się nie zgorszę.

. . . .

Nawet jeśliś rzekł: „kobieta“ —
Milczę: rzecz nie do mnie pita.
Dosyć! Nie chcę! Nie i kwita!

. . . .

Nawet gdy małżeńskie łoże
Znęci mię (i to los może),
Zamiast dzieci — siebie tworzę.

. . . .

Próżno gniewać się i srożyć.
Nie dam ci się już potworzyć!
Bydła dość! Chcę ludzi *mnożyć!*

Formą *nie chcę być niczyją!*
Chcę być sobą!.. *Chcę* — per Dio! —
Być z lwem lwicą, z wężem żmiją;

Być panterą z leopardem;
Żyć drapieżnem życiem, twardem...
A na krów byt rzucam wzgardę!

Z krów — być chcę Jowisza Io...
Reszta krów, jak świnie żyją:
Karmią, karmią się, żrą, tyją.

Radećby żyć? lecz pasterzy
Z dworem pacht je (jak należy)
Do społecznej doi dzieży.

Czasem krowi archaniołek
Radby dumać... Nie — stój! Wołek
Ryczy, kopie... Miłość... Ciołek!..



Nie pomyśli ani troszka,
By swej użyć broni — rożka,
Przeanielska ta białoszka!..
. . . .

III.

Wśród błoń wsi, miast nizin, dołów
Nachwytałam tych aniołów —
Krowo - roślin. *Oto połów:*

Jajko - białek, byko - wołów,
Samcołówek, samicołów,
Ciał ciężarnych, brył woł - ołów;

Ćwiercio - ludków, zwierzo - połów,
Sumo - wąsych apostołów,
Cnót społecznych kuj - dzięciołów,

W pień kujących cały dzionek;
Dźwięcznych, szumnych małż-*małżonek,*
Skowroneczków, wron, skowronek;

Zniczka-stróżek i kapłonek,
Pni, kłód, próchen, witek, płonek,
Żon korzonków, kur-kurzonek.

. . . .

. . . .

Wieś... W dwór krówkę na zaplonek
Anioł wiedzie za postronek...

. . . .

W cichym domku gaśnie dzionek.

. . . .

Pan-ziem-dóbr-Arch-Anioł-Marek
Zejrzał szmat swych gospodarek.
Wieczór... Wszedł w domowy barek.

Zegar cyka... Słów pogwarek...
Serc kram-kramarz-gruchot-parek...
Szumi muszla-*samowarek...*

Jak w organach rząd fujarek,
W szafie lśni stek butli starek,
Szczęsnej doli lep-szafarek...

. . . .

Z kusą duszą, z sutym karkiem,
Mąż jej popchnął życia barkę,
I zaczęli gospodarkę.

Kark *oziębił jej krew krewką.*
Jak jesienne uschła drewko...
Pono lepiej było dziewką!

Wołająca chłosty bicza,
Rozkiełznana sprosność bycza
Zdarła krasę z jej oblicza.

Ach, gdy zewrą się współrzędnie
Byk z aniołem, — anioł więdnie…
Po anielsku, nieoględnie!..
. . . .

IV.

Ujrzał, wziął na ślubny lep ją.
Bylejakie gniazdko lepią
I cnotliwą biedę klepią.

Zrazu ślicznie: amo, amo!..
Później dziatwa wyje gamą:
Czemuś mię zrodziła, mamo?

Jakie ziarno, taka mąka.
Cóż wyłuskwi się ze strąka: —
Bąk, co toczy się i błąka.

Bączek kręci się na osi,
Nakształt Basi, Kasi, Zosi,
Gdy zakręci ośką ktoś jej.

Skończył, przestał kręcić słupek —
Basia bęc — upada trupek…
Spójrz… aż biało *od skorupek.*
. . . .
Wziął anioła fotografię,



Spłodził jej dzieciątko: baw je!
I zamyka książki w szafie.

Bo — powiada — są ode mnie
Lepsi, a to nieprzyjemnie...
Więc ich pod klucz, w szafy ciemnię.

Sam — w handelek, cnót przytułek,
Marsz — lub marsz do przyjaciółek...
Oto los małżeńskich spółek.

. . . .

Biało, biało, jak w kościele...
Anioł, anioł na aniele...
„Razem, młodzi przyjaciele!“

. . . .

Gdy nie w kuchni, gdy nie niańczy
Anioł, — papla w oklepańczy
Sposób, gra ci, chcesz, to tańczy.

. . . .

Śpiewa, turka, konfiturka...

Tur tuż przy niej: póty turka,
Aż ją zje — zje i da nurka.

. . . .

Słodki anioł lep-siostrzyca
Dobra: da każdemu lica,
Choć nic więcej — męczennica.

. . . .

Anioł nie śmie tchnąć. Ucieka
W kąt, jak mysz. Patrzy z daleka
Kot... Biedactwo się doczeka...

. . . .

V.

Po społecznych trudach, w przerwie,
Niech anielstwo się rozerwie
W gzach szakali, w hyen ścierwie!

. . . .

Mąż do utrzymanki macha.
Żona widzi, lecz się stracha
Robić piekło, bo ma gacha.

Pan dóbr: Władzio, Zdziś, Konstanty,
Dał jej stroje i brylanty...

. . . .

Oto są anielstwa kanty.

. . . .

Nowy Świat. Niebo-ulica.
Idzie biedna anielica...
Wnet Che-Rubin za nią hyca.

— „Zdrowaś?“ — „Pod twoją obronę
Uciekam się“... za mamonę!..
Tak już w niebie uświęcone!

Zmamił duszkę, ciałku lek da;
Niema drobnych, to jej czek da,
I skończona drobna klechda!..

. . . .

O przyjdź do mnie, Lucyferze!
Niech cię ujrzę, niech cię zmierzę,
Ty upadłe z nieba zwierzę!

. . . .

VI.

Jechał anioł w kraj paryzki:
Miał sztuk przywieść nowe błyski...
Skonczyło się u kołyski.

Chodziła na „akademie.“
Piękny rapin *też nie drzemie...*
Ach, dziewictwa ciężkie brzemię!..

Mąż ją wyrwał ze sztuk toni,
Więc całuje go po dłoni,
Lub w co insze, gdy nie broni.

Szczęście, jakby się uwzięło:
Jedno, drugie dziecię-dzieło,
I rozwiane arcy-dzieło!..

. . . .

Spłodził anioł kupkę wierszy.



Zaraz niesie plon swój pierwszy
Pytać: czy ma talent szczerszy?

Znawca wziął ją w „cichy kątek.“
Oddała mu swój początek...
. . . .
Taki los już niewiniątek!..
. . . .

VII.

O przyjdź do mnie, Lucyferze!
Niech cię ujrzę, niech cię zmierzę,
Ty upadłe z nieba zwierzę!

Ty, co szukasz w niewiniątku
Rajów utraconych wątku,
W biednym domku, w cichym kątku!
. . . .

Burz się, burzo, kipiej, wrzątku!

. . . .

Tyś mię zmamił w drzew zakątku
Do pierwszego grzech - początku!

Tyś celował w nas, jak w metę!
Siebie'ś szukał przez kobietę.
Pora zająć się odwetem.

. . . .

Oto jasny wzrok otwieram.
Przebudzona'm, śmiała'm, szczera'm:
Teraz ja się w was pogmeram.

VIII.

W wszystkich, co mię obstąpili,
Mam coś: ten wre, tamten kwili,
Z tym jest miło, z tamtym milej.

Ten mię jawnie, ów do „kąta“
Szeptem ciągnie i zaprząta
Sobą, i w sieć własną pląta.

Rozżebranych oczu błyskiem
Łechce mię, jak odaliskę...
Górne słowa, myśli nizkie.

Gada mi o sobie, gada,
Sidli, mydli ta szkarada
Nieudolna, no i wpada.

— Myślę — rzekł — o górnem *dziele.*
Ja cię kocham górnie, *wiele,*
O zniż *do mnie lot,* aniele! —
. . . .

Gdy lot zniżę — jemu zguba,
Duszy mord, a mnie — czcza chluba,
Żem zniżyła górnoluba.

Ci to winni są pigmeje,
Że kobieta okrutnieje,
Gdy słów górnych jej się przeje.
. . . .

Tak, ty jesteś tym człowieczkiem,
Co na jour'*y chodzi z ćwieczkiem;*
Miodkiem, żółtkiem czka i mleczkiem;

Z tych, co wielbią nas pół-chutnie
*I umią pół-*brio, *pół-smutnie*
W familijną brzdąkać lutnię,

Mieć nad społeczeństwem pieczkę,
Oraz literatureczkę
Na obroczną międlić sieczkę...

Bluszczyk, czułek-mimozica,
Rymująca do księżyca,
Gwiazdek, szybek i do nic'a.

Denkiem swojem pół-spękanem
Chcą być duszy mojej panem
Te donice z mleczkiem grzanem!
. . . .

Inny znów mię z obawiaczy



Wolać „w kątek“ wiedzą raczy.
O, ten kocha mię inaczej!

Duchów spójnia synetyczna
Jego do mnie tak przytycznia
I ze mną umonistycznia...

Jeśli ci o duszę chodzi —
Weź ją: ciało mc odchodzi.
A co? kwaśno? skisł dobrodziej?..

. . . .

Ten adorant — kwiat dzieciucha,
Gdy się zbliży — krew zeń bucha:
Lecz to nie promienie ducha!

. . . .

Ten tam owo Don-Michałek
Puszcza we mnie groty strzałek
Z szkieł i z oczu-ulęgałek...

. . . .

Trusi-poł, poł-szaławiły,

Do dobrego brak mu siły
I do złego: zbyt przegniły!

. . . .

Boże, albo Lucyferze!
Weź mię, bo mię złość już bierze!
Grzechów daj lub cnót bezbrzeże!

. . . .

. . . .

. . . .

A o — jest cnót bezbrzeg: o — ten.
O którą go kolwiek cnotę
Spytać, każdej zna istotę.

Wszelkie dobro zna z nazwiska,
Wie, co się przez cnotę zyska,
Ale z ciała grzech mu tryska.

. . . .

Jest i bezbrzeg nędz, sromoty —
Juda, brat Iskaryoty...
Zły, lecz kazi go cień cnoty.

Z czartem ma konszachty lisie,
I z „aniołem“ w kompromisie:
Bo pamiętać trza o misie.

. . . .

Jest i ten, co rozpustował,
Lecz już dziś się ustatkował,
Pod surdutem grzech pochował...

Czasem tylko się rozpina,
Czasem twarz drgnie libertyna
Wspomnień czkawką, fuzlem wina.

. . . .

Dosyć! dosyć! bo w zapale
Uniosłam się w takie dale,
Że nie będzie żyć z kim wcale.
. . . .

IX.

„Ci panowie“ mą zabawą.
Czasem im zaklaskam brawo,
Ale czasem... tak nudnawo!

Gdy coś Jan ode mnie wskóra,
Skora ćmi „pana“ Artura —
Ot zabawa — konfitura!

Każdy pragnie wyłączności,
Lecz mu w myślach to nie gości,
By mieć żal do swej jakości.

Więc ci powiem, choć zaboli'ć,
Że ja wolę cię nie wolić:
Nie — bo chcesz mnie przyniewolić.

Miłość — wola. Spójrz na dzieci:
Dziecko wolne do ust lgnie ci;
Gwałcisz — mierzchnie i nie świeci.
. . . .

Chcesz przynękać mą uwagę?
Na oschłości spójrz swe nagie,
Po których mam czczość i zgagę!



Cierpisz? Cierp. Myśl. Zbrój się zbroją!
Którzy cierpienia się boją, —
Nie będą moją ostoją.

Chce się pań-niewolnic-żonek?..
Gdybyś choć, in spe *małżonek,*
Władzy umiał dzierżyć trzonek!..

. . . .

Gdybyś ty mi był za ojca,
Mojej byłbyś mary zbójca,
Z domu umkłabym — ogrójca.

Gdybyś ty był moją matką,
Byłbyś złą arystokratką,
Byłby dom mi ptasią klatką.

Gdybyś ty był moim bratem,
Chciałbyś woli mej być katem,
Żywiłbyś mnie za opłatę.

Gdybym miała ć za siostrzycę,
Kłółbyś mię zawiści szpicem,
Wydzierałbyś mi, co chwycę!

A gdybyś mi był za męża:
Zamiast bronić, jak pawęża,
Strzelałbyś do mnie z oręża...

. . . .

Kochaj drgnienia swej dziewczyny
Do najmniejszej odrobiny
I odgaduj chęci z miny!

. . . .

Gdy chęć nie w twą zwracam stronę,
W siebie zgany miej cofnione:
Mrzyj i twórz się, jak ja płonę.

Tyś jest na to pan stworzenia,
Abyś ziszczał me życzenia.
Tyś jest dłuto: jam z kamienia.

Słabyś?—milcz; moc?—bierz mię w stadło.
Co stworzone, to przepadło:
Czcij lub w śmierć ślij nieodgadłą!

W twej niechęci, w nagan chmurze,
Ja ci się nie odnaturzę.
Bierz prym: miłuj! — ja przywtórzę.

Jeśli ujrzę coś tam w górze,
Wyżej wspinaj się ku chmurze,
A nie sięgniesz — mrzyj, Arturze!

. . . .

Co?.. draśnięta czuła tkanka

Niedorodzonego panka?..
Tak, otwarta boli zganka

Chcesz-li górne reje wodzić,
To bądź łaskaw się dorodzić:
Umrzeć i znów się narodzić.

Chociaż grzejesz mię oczyma, —
W twojem sercu obcość, zima...
Szukam duszy, lecz jej niema!

Mówisz słówka czyjeś? cudze?..
Nie wiem... Słucham, serce studzę,
Śmieję się, lecz w duszy nudzę.

Opowiadasz anegdotki,
Figle-migle, psotki-plotki...
Takież twoje górne lotki?

Jeśli chcesz wziąć górną górę,
Zaraz — bęc w literaturę...
A gdzieś ty?.. *za ciała murem!*

Wyraz twój — ckliwy kwas masek!
Cała twoja trestka — kwasek!
Ser-doniczny niedokwasek!..

. . . .

„Razem, przyjaciele, razem!“
Poco?.. Dokąd?.. Precz z ócz gazę!
Dość tumanić czczym wyrazem!

Rzuć „klucz“ górny, krat złam pręty,
Miej swój cel z Ducha poczęty,
Będziesz mi jedyny, święty!



Stłum ból-puzon, nie mnóż krzyku,
Nie trzymaj mnie na „kluczyku,“
Nie ucz kluczyć, ty „Kluczniku!“

Nie nauczaj w kahaliku
O tym cnót-idealiku,
Co się kończy na szafliku!

Nie chciej, bym była klucznica,
Miała fartuch, biel-jaj-lica
I czczy czciła świat Don-Nic'a.

Dziel mój cel-duch: będę celna
I różana i niedzielna;
Chcesz, to biało-ślub-weselna!

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

X.

O gdyby mi kto dał moce
Ciemnych dusz rozwidniać noce:
O to jeno się kłopocę!

Bo mi życie za sierocc,
Za pustynne, choć je złocę
Marzeniami w ciche noce.

. . . .

Cichy domek, cichy kątek...
Siedź i siedź w nim świątek-piątek,
Nakształt muszel-*małż-żyjątek!..*

Na podwodnych skał opoce
Nocą sny sobie stokrocę:
Śnię Król-Ducha czary-moce.

. . . .

Cichą noc „pan“ zgwałcił — dzionek.
Jedno, drugie dziecię-dzwonek
Dzwoni... Wstał mąż — władzy trzonek...

Tryb codzienny — żon zagonek:
Wrzask, czesanie, mycie płonek...
Oto życie-tryb-skowronek!..

. . . .

Ach, ja grzeszna!.. Z moich słonek-
Dzieci — w noc mi jasny dzionek,
Lśniący złotem z kos-plecionek!

Me anioły-Magdaleny,
Me ukwiały, *me barweny!*
Me dziw-czary-cud bez ceny!

. . . .

Cichy domek, cichy kątek,
Pełen głośnych niemowlątek,
Aniołków... — Molocha wziątek!

„Pan", gdy zbyt nabrzmieją weny,
Idzie zczczyć je do pij-weny.
Toć mu wolno — „dla hygieny!"

. . . .

Cichy domek, cichy kątek!..
Raju życia znikł początek:
Lucyfera to zawziątek!

O wy moje dzieci-weny,
Krew mi ssące śpiew-syreny,
Złotokose me hygieny!

. . . .

. . . .

. . . .

Cichy kątek, ciche łoże...
Biel pościeli... Pachną róże...
Bez zaleciał... Boże! Boże!

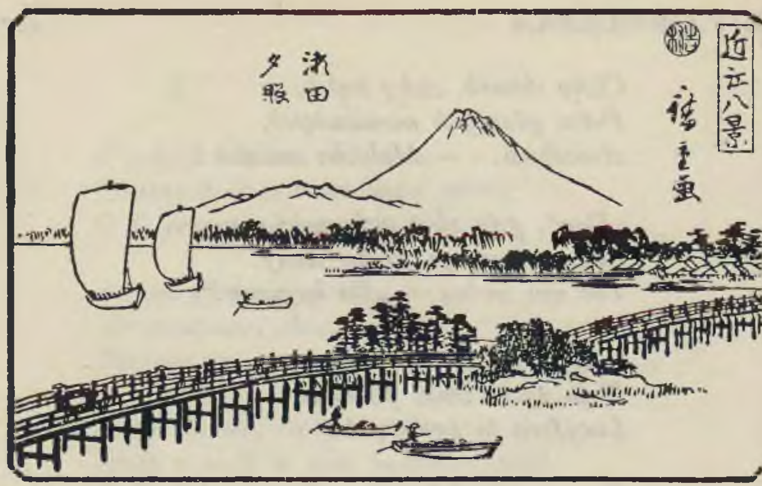
Ach, spadł z nieba anioł-zwierzę,
Gzom Molocha legł w ofierze...
Lucyferze, Lucyferze!

. . . .

Pst... Szept w cichej mej komorze:
Zwie Lucyfer na bezdroże,
Pali biel mą... Boże! Boże!

Czemuś w zmysły wlał mi wrzątek?
Czemuś wtrącił mię w zamątek?
Ach, już raju znikł początek!..

. . . .



Mąż podejrzał mnie w niewierze:
Podpatruje, śledzi, strzeże...
Lucyferze! Lucyferze!

Ach, łkam w cichej mej komorze...
Zapomniałam o honorze,
O kontrakcie... Boże! Boże!

. . . .

Kiedy weny chuć rozbierze,
Nie obronią cnót puklerze,
Lucyferze! Lucyferze!

Nie obronią mnie pacierze,
Nie obronią mnie szkaplerze,
Gdy nastawi czart więcierze!

. . . .

Jedno, jedno mi pomoże,
Jeno jedno: — gdy się STWORZĘ,
Gdy się TOBĄ stanę, BOŻE!..

. . . .

Sen-Duch-Księżnik-Król-Czar święty
Rozsnuł życia elementy,
By je w nowe zewrzeć skręty.
. . . .

XI.

Wykwitł ze mnie czar zaklęty.
Oto swe rozwijam skręty
Do miłości wielkiej, świętej.
. . . .
Ukochałam Króla-Ducha,
Tego moja hardość słucha,
Tego tylko chcę łańcucha!

Z ciał, co mię obległy mrowiem,
Najprzedniejsze ja wyłowię,
Jemu STAŃ SIĘ sama powiem.

Będzie to czarodziej-książe-
Księżnik czarny... Ten rozwiąże
Czar mój, tego uposążę.

Mojej woli mocą tchnienia
Jakiekolwiekby zachcenia
Miał — doznają wypełnienia.

Tak mu żądze rozświadomię,
Że, skoro pomyśli o mnie,
Będę jego, jak przytomnie.

Jam wężowo-skrętna wonność,
Niepożytość i niezgonność,
Nieuchwytność i wszech-chłonność!

Jam jest tem, co w snach się tai
Indów, Gang, Teb i Synai:
Agni'm, Wisznu, Adonai!..

. . . .

Izys... Moloch... i Astarte
Leżą, ław ałunem zżarte...

. . . .

Księżnik-Czar odwraca kartę.

. . . .

Czaru nie mam już dzieciątek,
Im oddałam swój początek,
Im'em raju dała wątek.

By im w duszach raje uwić,
Musiałam się rozzasuwić,
Musiałam się rozobuwić,

Z Lucyferem zszeptać, zmówić...

. . . .

Jeszcze pachnie wonna bzu wić,
Jeszcze skrętów pełna'm, uwić...

. . . .

Im już nie kądziele lnu wić:
Im już pilno strój swój uwić,
Jasnościami świecić, mówić...

Księżnik-Czar-Król-Duch mój święty
Zżenił życia elementy:
Nowy żywot już poczęty...

. . . .

Jam wężowa raju wonność,
Jam owocność, rodność, płonność,
Niepożytość i niezgonność!

. . . .
. . . .
. . . .

Patrz... Lucyfer samotniczo
Płacze... Żal mu za dziewiczą
Nieświadomych dusz słodyczą.

Dusz anielskich niedorostki
Pożarł do ostatniej kostki...
— Żadnej, żadnej już miłostki!..

O chutliwe, biedne zwierzę!
Całuj sukni mej rubieże!
Słuchaj, wyrok ci odmierzę!

Stoję nad twem cielskiem wrogiem.
Leż!.. Na piers ci stawiam nogę.
Żyj!.. Lecz jam twym Panem-Bogiem.

Jan Lemański.



Zródła i ujścia nietzscheanizmu.

II.

Analogie historyczne dzisiejszej krytyki wytworzyły dziwaczne skróty przymiotnikowe, jak np. w dziedzinie sztuk plastycznych: „Giorgionesque,“ „Leonardesque“ i t. p. Co bynajmniej nie ma oznaczać prostego „jak Giorgione“ etc., lecz mówi o istotnych, nieuchwytnych, słowami niedających się może określić właściwościach mistrza, przytrafiających się u innego bezwiednie i niezależnie od wszelkich wpływów. Jest w tym przymiotniku coś jakby z absolutnych wartości życia ujawnionych w sztuce najwymowniej przez nazwanego mistrza. Nie są więc one zamknięte w granicach określonego czasu, nie są wyłącznym wyrazem jednej tylko dziedziny ducha.

Podobnie dziać się zaczyna i w krytyce literackiej. Od czasu większej poczytności dzieł Nietzschego przeddźwięków „nietzschéanesque“ poszukuje się wszędzie. A że to słowo jeszcze się nie utarło, przymiotnik „nadczłowieczy“ oddaje tymczasowe usługi, przesuwając zresztą punkt ciężkości i zwężając pojęcie, o które chodzi.

Szukano tych przeddźwięków przedewszystkiem w życiu: a więc w potężnem, ideowo jak puszcza groźnem życiu trzynastowiecza germańskiego, w prześwietlonych czasach Odrodzenia łacińskiego, w najbujniejszym z nierządów siedmnastowiecza polskiego, w nagłem rozprzężeniu tłumionych sił w czasach bezpośrednio porewolucyjnych — w roku 1789, i znacznie mizerniej, choć dla naszych czasów bardzo charakterystycznie, po 1830.

Lecz już w późnem Odrodzeniu naga zuchwałość udzielnej jednostki zmuszona jest narzucać na siebie płaszcz dworskiej obłudy i, jakby w potrzebie zemsty za tę konieczność, zdobywa nową broń: przenikania cudzej, tej niższej, pospolitej, tej „arcyludzkiej,“ która zmusza wprost wszystko samoistne do nakładania maski. A ten wzrok, z za wielkiej maski przenikający cudze, lichsze, jest nieubłagany: udzielność jednostki zatamowana w sferze życia mści się nielitościwie w sferze ducha. Tego poczęcia jest Macchiavel, potem w znacznie szlachetniejszym i głębszym typie Montaigne, wreszcie późniejszy i wykwintniejszy La Bruyère, ci pierwsi mistrze duszy nowożytnej.

A przeddźwięki te mówią nieco więcej niźli o tem, że czasu bujnego życia, pewnego rozluźnienia sprzęgów społecznych, tęższymi ludźmi kierowały moce mające dużo wspólnego z głuchym fermentem duszy dzisiejszej. Ówczesna tężyzna człowiecza w swych spontanicznych rzutach ideowych trafia nieraz w samo sedno intelektualnych i papierowych koncepcyj dzisiejszego immoralizmu,

w przeszłości dalekiem sercem dzisiejszego mózgowego „indywidualisty.“

To zakreśla też granice tych analogij. One są — jeśli tego terminu użyć wolno — zbyt heterogeniczne, aby dalsze ich rozwijanie nie natrafiało na wielkie ryzyko zarówno historyczne jak i psychologiczne. „Nadczłowiek“ jest ideałem dzisiejszej kultury czasów i życia, on ma je w sobie (ma nawet i demokratyzm oraz dekadencyę), lecz w ich ostatecznych konsekwencyach: w przezwyciężeniu. On jest ideałem postępu, nie zaś uwstecznienia, nadto, jak się rzekło, wytworem przeintelektualizowanych dusz. Bujne, na pół dzikie, własną wolą jak fatum kierowane jednostki średniowiecza, Odrodzenia, czy też polskiej retorycznej italo-kozaczyzny z 17 wieku, stoją z nadczłowiekiem w wątpliwem pokrewieństwie. Wszakże ich czucia, pomyślenia i słowa niejedne są znamiennie „nietzschéanesques.“

O właściwych zwiastunach Zaratustry, może być mowa od przedświtu warunków dzisiejszego życia, formowania się dzisiejszej duszy, od prototypów i ujarzmicieli dzisiejszego człowieka. Ci ujarzmiciele pewnych epok stworzeni przez ducha czasu na wzór i podobieństwo ich współcześników, stworzeni z gruba i ciosowo siłą tłumnych namiętności, stają się z kreatur bogami swych twórców, modelując ich indywidualne dusze na wzór i podobieństwo własnej. W tych soczewkach skupiają się wszystkie rozpierzchłe moce duszy czasu, rozniecając się do płomiennej potęgi. Nie odbiciem, głosem i narzędziem czasów jest człowiek wielki, lecz, mocą pewnego pokrewieństwa woli z tłumnemi podówczas namiętnościami, szczęśliwie nad poziom wyniesioną soczewką, kondensatorem duchowej energii czasu, używającym jej dla własnych swych celów.

I chociażby ten jego cel dla ludzi nienawistnym się stał, chociażby z czasem zgoła zapomnianym został, soczewka woli, mimo wszystko, póty fascynować ludzi bę-

dzie, póki w jej ognisku nie będą oni dostrzegali rozpierzchłych i skarlałych mocy własnej duszy, tam oto skupionych do światoburczej wprost potęgi. To zaś godzi z życiem, godzi z człowiekiem i sobą samym, darzy zaufaniem w swe siły, na najniższych szczeblach życia, w najbardziej własnych granicach ujawnienia swej woli.

I tuż na samej rubieży nowych czasów, tuż u źródeł współczesnej duszy, stoją dwa posągi, których bez pewwnych myśli i uczuć minąć niepodobna, jak niepodobna przejść bez podobnych uczuć i myśli przez Forum Romanum. To tchnienie potęgi z dusz najbardziej współczesnych upaja ludzi dzisiejszych do s n ó w o niej wśród ruin i gruzów realności.

Wokół Napoleona i Goethego krystalizowała się koncepcya nadczłowieka.

A gdy ocknięty ze snów swoich marzyciel, z rozedrganemi wszystkiemi strunami woli, zwróci się do realności z postanowieniem twardego jej opanowania, bez dobrowolnych lub na pół świadomych ułud i czułostkowości, i gdy ta realność spojrzy na niego tysiącem masek rzeczy i ludzi, wówczas — (koniecznemi byłyby tu omówienia analogiczne do uczynionych poprzednio przy Macchiavelu, Montaigne'u etc.) — natrafia na tejże rubieży wieków na Stendhala, którego zapoznani, a dziś na nowo odkryci bohaterowie okazali się pod wieloma względami esencyą dusz dzisiejszych, z tym dominującym w woli pierwiastkiem opanowania najbliższej realności, zdzierania masek z rzeczy i ludzi i zwalczania ich maską własną, lecz lepszą.

I tak oto błądzący wśród posągów marzyciel nie czuje się bynajmniej na cmentarzu, lecz przeciwnie wśród najszczęśliwszych ujawnień życia, w promieniowaniu najcelniejszych właściwości dzisiejszego indywiduum; czuje się pośród prototypów, mających w nieujawnianych głębiach historyi swe duchowe odpowiedniki i, aż po naj-

większe niże życia, na największych jego szerokościach, całkowitą hierarchię dusz: na wschód — aż po katorgi syberyjskie, na zachód—aż po galery Kajenny.

A że każda dusza ma w sobie to ślepe parcie do ujawniania najgłębszych, najbardziej nieświadomych swych podkładów, do prężności najbardziej nawet skarlałych w niej mocy, tedy tętno nadczłowiecze pulsować może w najnikczemniejszych nawet skroniach.

Syntetycznych wyrazów tej tęsknoty (aby od nich zacząć) w wieku ubiegłym nie brak. Przypomnijmy tylko: Carlyle'owskich „bohaterów," Emersonowskich „reprezentantów," Stirnera „jedynego" i Renana „devasów." Dla nich wszystkich celem i dążeniem kultury była nie oświata wielkich mas, lecz najcelniejsze, najrzadsze okazy człowieczeństwa: ludzie wielcy [1]).

Żywsi, intensywniejsi i bardziej bezpośrednio do ducha przemawiający są ci inni, gatunkowem imieniem nienazwani, a żyjący jak prawdziwe indywidua własnem tylko życiem: immoralni jak żywioł, potężni jak wizya wielkich poetów. A więc: chociażby niektóre typy Słowackiego, niektóre Shelleya, wreszcie, egzotyczniejsi, bardziej kostyumowi i szumni, lecz mniej głębocy, mający natomiast liczne literackie potomstwo, ludzie Byrona [2]).

---

[1]) Wyjąwszy może Maxa Stirnera. W swej monotonnej i marudnej dyalektyce wywalcza on prawa udzielne dla każdej jednostki; wszakże tak olbrzymio rozrosłe jego „ja" jest zawsze udziałem nielicznych. Renanowscy d e v a s o w i e mają nawet swą zwartą definicyę: ludzi o szlachetniejszej krwi, tęższym mózgu i mięśniach, ludzi mających prawo i obowiązek panowania nad innymi.

[2]) Przypadkowe zbieżności kilku przypowieści Zaratustry z niektóremi aforyzmami Hoelderlina, Schlegla i Nowalisa mówią znacznie mniej i są raczej przypadkowem zaawanturowaniem się tamtych romantyków po za rubieże zła i dobra, a u Nowalisa buddyjskim raczej indyferentyzmem wobec zła i dobra niźli świadomym immoralizmem.

Silniej ujarzmiają też naszą wyobraźnię (i przez to znowuż siewniej działają) ci najgłębiej zaprzepaszczeni z hierarchii Napoleonów, Goethych, ludzi Stendhalowskich i innych: te z głębin życia twórczo dobyte jednostki, ztamtąd, gdzie wszelkie więzy i sprzęgi społeczne, wszelkie żmudy, nudy, fałsze i jałowizny towarzyskie są zbyt jeszcze luźne, lub zgoła nieobecne, aby zdołały wyplenić całkowicie życie jednostkowe. Pod wielką tłocznią społeczną, na samem jej dnie, pośród mętów i zbrodni, jest, zda się, jeszcze najwięcej powietrza dla jednostki. W tej atmosferze żyje najbujniejsze człowieczeństwo, nietylko Rosyi, jak myślał Dostojewski. Do tego powietrza rwali się instynktownie, choć sporadycznie, nietylko Verlaine i Rimbaud. W te światy zanurza się dziś Gorkij, w najdoskonalszym rynsztunku literackiego nurka, docierając zresztą tylko „do dna" życiowej realności.

Wszakże ta atmosfera, w której obracać się może swobodnie tylko istotna prymitywność, staje się otchłanią dla ludzi piętnowanych nadmiarem wyobraźni, — taką jej bujnością, że gdy się ona na jednym celu pożądań skupi, tam, w pierwszem zetknięciu z przegrodą społeczną, drzemie możliwość zbrodni. Wystarczy zaś, aby w tych potworach dna wyobraźnia zwróciła się w kierunku takiej możliwości w instynktach,—wówczas prędzej czy później spadnie z duszy czyn, jak spada z drzewa owoc dojrzały. Lecz wtedy swą ciasną i duszną ograniczonością postępku tak się skłóci z wyobraźnią, taką chmurą na myślach zaciąży, że na tej „pierwotnej" glebie, w którą kapryśne wiatry zachodu przesiały gorzkie ziarno analizy, rozrasta się ono w dotychczas niesłyszaną dyalektykę duszy. Niech czująca dłoń na takiem czole spocznie, a wyczuje, że w tych skroniach bije wprost młotem tętno „nadczłowiecze."

To ciemne życie przeżył wewnętrznie Dostojewski

aż do dna wszystkich ohyd i zbrodni, a wraz z niemi aż do oślepiających wprost błysków w duszę współczesną.

Ten pisarz, Nietzschemu tak biegunowo przeciwny, ten quasi „mistrz moralności niewolników,“ ten epileptyk nadczuły i nadświadomy, słyszący poprzez siedm murów bicie serca ludzkiego; tak perwersyjnie tkliwy w stosunku do wszystkiego, co shańbione, zdeptane, oplwane; taki niezmordowany w analizie całego piekła tłumionej w tych duszach nienawiści; tak niestrudzony i uparty w uszlachetnianiu jej wszystkiemi ideałami chrześciaństwa (temi ideałami, których istotną nieraz nieszlachetność, mściwość w pomyśleniu, „ressentiment,“ tak genialnie przejrzał Nietzsche); ten quasi „prorok niewolników“ — był zbyt wielkim artystą, aby swych quasi wrogów i całej „moralności panów“ nie przedstawić w ich właściwej fascynującej potędze. A że był przytem bardziej dyalektykiem niż plastykiem, wiec też ideał „nadczłowieka“ ma tu nieraz sformułowanie tak jędrne, zwarte i do dna przemyślane, że nie powstydziłby się go i Zaratustra [1]).

Miał więc zwiastun Zaratustra przedzwiastunów swych w historyi. Miał ideał nadczłowieka swe możliwe w niej ucieleśnienia, oraz podatną magmę dusz współczesnych, w której krystalizował się powoli jako koncepcya; miał nawet heroldów z głębin potępionego życia.

Przykładów możnaby tu namnożyć. Wszakże po co? Dziś bardziej, niż kiedykolwiek, wiemy, że każda wielka fala musi mieć swe ośm poprzedniczek. A jeśli się o nich napomyka, to jedynie dla wskazania na dziejową ostatniej konieczność.

[1]) W takich opowieściach, jak o Chrystusie i inkwizytorze, w niektórych dyalogach Raskolnikowa, a zwłaszcza Iwana Karamazowa. Tak ulubione przeciwstawienie Nietzschego: nächsten - fernsten:— nie bliźni i najbliżsi, lecz najdalsi — pochodzi od Dostojewskiego.

Bardziej jeszcze znamienne od tych poprzedniczek wielkiej fali są owe drobne zmącenia i dreszcze, poczynające się z nią równocześnie: od najbardziej na wszystkie szerokie siewy otwartego lądu Francyi, aż po najcichsze fiordy norweskie.

Aby nie przytaczać tu jednym tchem nazwisk, mówiących w długich listach zawsze bardzo mało i rozbieżnych zresztą pod każdym innym względem, wystarczy przypomnieć pamięci każdego, zachowującego jaką taką styczność ze współczesnym ruchem literackim, że ze wszystkich wybitniejszych utworów dzisiejszych bezpośrednio lub ubocznie wyziera zagadnienie dobra i zła, z każdej niemal ich stronicy zaczyna przebijać niechęć, jeśli nie świadoma odraza, do sądów t. z. moralnych, pozorujących tylko istotną wartość czynów ludzkich, rzetelność uczuć i prawdziwość wewnętrznych mocyj. Wszystkie te normy, jakie wytworzyło gromadne życie w stosunkach bądź społecznych, bądź towarzyskich, bądź rodzinnych, bądz miłosnych, wszystkie te normy skrzepłe w obyczaj, uświęcone „ideałem,“ zagadywane na śmierć ustawiczną obłudą sądów moralnych, stanowią niezmienną nieomal ramę dzisiejszej komedyi uczuć: są bagnem, siecią lub murem dla każdego samoistnego objawu życia.

A gdy w artystycznem zwierciedle ujrzy cichy filisterek taką komedyę, nietylko schlebia swej uprzedniej przenikliwości (któż bo lepiej od niego zna istotną wartość uczuć w stosunku np. do pieniądza), lecz oddaje się nieszkodliwym uczuciom mściwego zadowolenia, widząc w obłudniku niechybnie sąsiada swego, a nigdy samego siebie.

Gdzie zaś szczersze życie mimo wszystko ujawnić się zdoła, bodajby tylko w użyciu, gdzie zatętni południowym żarem temperamentu, a wraz z nim nasyci świat barwami i słońcem południa, gdzie, rozpętawszy wszystkie

namiętności, zbudzi upiory tragedyi indywidualnej, — tam ów filister, zdolny jedynie do moralnej komedyi i sporadycznych reakcyj płaskiego cynizmu, nietylko schlebia swym chuciom, lecz upaja się tym razem szczerem, tęgiem winem życia.

Mówimy: filister, gdyż najznamienniejszą cechą stosunku dzisiejszej społeczności do tych utworów, podkopujących wszystkie t. z. moralne ostoje życia, jest fakt, że i ona już się niemi rzetelnie nie gorszy.

Oglądamy na deskach teatralnych lub na stronicach książek codziennie nieomal najjaskrawsze obrazy gnusnej obłudy rodzinnej, towarzyskiej i społecznej: tej pełnej cichych ofiar bellum omnium contra omnes, gdzie zbite w kupę czułostkowe egoizmy nękają się naprzemian litością i wzbudzaniem współczucia, ofiarą i jej wymaganiem, przywiązaniem i pętaniem, zwężając ludzką wolę do granic obowiązku, wtłaczając wzajemnie swe czucia i doznania w cieśnię obyczaju, zwyczaju i nawyku. W takiej to atmosferze sądy moralne rozlegają się najgłośniej, niby głuche dzwony pogrzebne. — Oglądamy te katakumby w ponurem oświetleniu jedynego nieraz płomyka życia, jakiejś żywej lampy, gorejącej nadomiar przed ołtarzem — jawnego grzechu. Wpadamy w złośliwą zasadzkę artysty, który całe nasze instynktowe ukochanie życia, a więc wszystkie nasze współczucia, wszystkie tętna naszej wyobraźni przynęca na stronę tak oto przedstawionego grzechu, aby w jego fascynującem świetle okazać całą nędzę obyczajowego i cnotliwego automatyzmu, całą żałosną chudziznę sądów moralnych.

I wewnętrznie—szczerze a rzetelnie—nikt się tem dziś nie gorszy (choć niejeden czyni to głośno z powinności lub z ubocznych powodów doktryny literackiej): — z pod skorupy sądów moralnych przebija w ludziach anarchiczna wprost potęga — współczucie bujnemu życiu.

Czytamy oto lub oglądamy nieomal codziennie... Lecz czy nie lepiej zaniechać tu przykładów, by nie zwężać konkretnemi obrazami sugestyjnego odczucia tego stanu dusz, nie upraszczać w myślach tak przebogatej, przedziwnie zawiłej linii oceanicznych brzegów życia wśród miliona najcichszych jego zatok. Wszędzie, gdzie tylko z szerokiego morza dowolności dochodzą bodajby najsłabsze wiewy, wszędzie chwiać się poczynają wszystkie normy i mierniki moralne w stosunkach społecznych, towarzyskich, rodzinnych, miłosnych, przyjacielskich i t. p.

Przegryza je rdza analizy, a tak nadwątlonemi wstrząsa każde intensywniejsze życie. Z pod rozdartej osłony sądów moralnych wyziera szpetna nagość komedyi uczuć współczesnych: komedyi miłości, farsy przyjaźni, żałosnego dramidła uczuć rodzinnych, płaskiej i zimnej feeryi uczuć towarzyskich i wyrafinowanej a krwawej już tragedyi moralności społecznej.

Za sprawą naszego stosunku do wszystkich wybitniejszych artystycznych utworów ostatniej doby, to współczucie dla bujnego życia przebija poprzez skorupę moralną coraz to częściej, coraz to naglej i jawniej, — coraz to anarchiczniej! Wszystkie mury, odgraniczające każde samoistne ujawnienie życia, drżeć poczynają u podstaw. Przez ziemię przechodzi dreszcz, dreszcz życia, jeśli kto chce: idzie Pan! [1]).

[1]) Oczywiście z wszelkiem użyciem i nadużyciem ma to wszystko minimalny i zaledwie uboczny stosunek, a czego już podkreślać chyba nie trzeba, — Pan nie jest niewolnikiem Erosa. Co dla jednych bywa tylko nawiasem, dla drugich jest treścią życia, co dla bujnych jest nadmiarem i wytryskiem sił, nieraz nawet nowych sił źródłem, dla wątłych i zdegenerowanych jest tylko gnuśnem bałagulstwem i zamrą ducha. I ta moralność jest względną.

Zaś najmniej ma to wszystko wspólnego ze stałą i ciągłą f e b r ą u ż y c i a, która jest jedną z naznamienniejszych cech zastoju i marazmu. Sapienti sat.

I wtedy, wtedy dopiero uderza fala dziewiąta...

Stosunek ludzi do niej świadczy wymownie, jak to świat okrzykiem zgrozy wita rzeczy w zasadzie nienowe, lecz przerażające właściwie tem tylko, co geniusz w nie wnosi: całkowitem i pełnem życiem, przemyśleniem rzeczy do dna, wyciągnięciem ostatnich konsekwencyj. Wprzódy pozostawało zawsze „a jednak,“ „wszakże,“ „mimo wszystko“ — tę nową dziurę w myślach i czuciu można było załatać byle czem, bodajby zapomnieniem. Z chwilą wszakże, gdy zostaje wytrącona z rąk ostatnia broń wszystkich ostoi moralnych: obosieczny miecz ideałów chrześciaństwa, ta ultima ratio wszelkiej gnuśności myślowej; gdy najszlachetniej nawet pomyślaną ich koncepcyę burzy Antychryst, — nie ten z klątwy i legendy, lecz z własnego mianowania i mądrości: świadomy wróg Chrystusa w obronie życia, — wówczas z wrogą ideą każdy na swój sposób załatwić się m u s i.

Ta wielka fala kulturalna niesie ze sobą pytajniki, których każdy, jako tako duchowo egzystujący człowiek ominąć dziś nie zdoła:

„Czy wszelkie przepisy postępowania nie odnoszą się jedynie do strony zewnętrznej, dającej tylko ułudę równości, czy każdy czyn nie jest czemś odmiennem mimo tych pozorów równości, czemś, w istocie swej, niezgłębionem i niepoznawalnem?“

„Czy słuchasz rozkazów swego sumienia, jak żołnierz dowódcy, kobieta—kochanka, czy jako pochlebca lub tchórz, czy też jako głupiec uległy, bo nic odpowiedzieć nie umiejący?“ —

Czy rzeczywiście współczucie, litość i altruizm służyły dotychczas życiu najlepiej? były najhojniejszym posiewem przyszłości? Czy nie wprost przeciwnie: czy nie czynił i nie czyni tego właśnie e g o i z m?

A gdy takie pytania i wątpliwości poczną komuś kruszyć w dłoniach wszystkie dotyczasowe bronie w życiu, gdy zbłąkanemu na życiowych ścieżkach zastępuje drogę niby upiór trzynastowiecznego raubrittera z napisem na przyłbicy: „Nieprzyjaciel miłosierdzia, Chrystusa wróg!“— wówczas, zdawałoby się, należy sięgać na dno serca i ducha po miecze wprost płomienne.

Stosy kacerskie nie były bynajmniej najstraszniejszą bronią ludzkości w walce z ideą. Na nich ginął tylko człowiek, idea wtedy dopiero, gdy swego posłannictwa zaczynu i fermentu życia dokonała. Dzisiejsza ciekawość literacka, potrafi największą falę dziejową zamienić w bańkę literacką.

I gdyby się tu w przyszłości zjawił nawet jaki Tomasz z Akwinu, przyjdzie on za późno, przedewszystkiem dla tych, co ongi okrzyki zgrozy podnosili, a dziś albo zgoła już zobojętnieli, albo (chcąc być bardziej „współczesnymi“) zużyli już całkowitą energię duchową na to, aby się do dawnej wrogości przystosować kompromisowo.

W tym zabawnym kłopocie spóźnionego najczęściej kompromisu, znajdują się nasze „sfery inteligentne“ mniej więcej zawsze. Wyciągając jedynie możebny wniosek w swej sytuacyi, dojść one muszą koniec końców do przekonania, że żółw jest stworzeniem najrozważniejszem: bo skoro linia postępu duchowego jest falistą, żółw przepełznąwszy po przekątnej, gotów każdej chwili zwyciężyć Apollina. (Słownie brzmi to zwykle inaczej: „sędziwy kościół koniec końców zawsze zwycięży“).

To też z chyżością i wrażliwością żółwi reagują dziś na prądy duchowe, nie podejrzewając, zda się, nawet, że te prądy to nie są bynajmniej podniebne wiewy, któremi zajmować się mogą tylko próżne umysły, że mogą one wywiać wszelką treść z życia — z jego przykazań, norm, obowiązków i stosunków, z ludzi i rzeczy, pozostawiając

tylko zewnętrzną armaturę pozoru i fałszu, że one to stanowią właśnie tę nieuchwytność, na którą wszystko spędzać lubimy, stanowią „ducha czasu."

A znaczą te skargi: tam, gdzie o tej nieuchwytności ideowego fatum, może być wogóle mowa, t. j., wyłącznie tylko pośród na pół uświadomionych, lub zgoła bezkrytycznych,—wśród ideowo bezbronnych czyni „duch czasu," niby kiła wśród ras pierwotnych, największe spustoszenia, wyjaławiając każdą glebę gnuśnym sceptycyzmem. Tak bardzo mści się lekceważenie idei, tak wielkiem jest niebezpieczeństwo wszystkich na pół cywilizowanych warstw i społeczeństw, żyjących tylko gazeciarską plewą, felietonowym okwiatem i krytycznym, martwym preparatem żywych i siewnych ziaren idei.

Wszystko, co się mówi i pisze o niebezpieczeństwie pewnych haseł, doktryn czy idei, ma swe jedyne uzasadnienie w tem stępieniu głębszej wrażliwości intelektualnej, w nieustannem prześciganiu się ciekawości ze znudzeniem i, co za tem idzie, w całkowitym zaniku intelektualnego sumienia.

A wszak mamy i bez tego „wszyscy bez wyjątku, wbrew wiedzy i woli, wartości, słowa, formuły i moralności biegunowo przeciwnego pochodzenia, mamy je w ciele nieomal: jesteśmy, fizyologicznie rzecz biorąc, fałszywi... Człowiek współczesny przedstawia biologicznie sprzeczność wartości... Siedząc na dwóch stołkach wygłasza „tak" i „nie" jednym tchem... Ta niewinność w kłamstwie jest cechą spółczesną par excellence, nią można wprost definiować spółczesność..." (Są to słowa Nietzschego skierowane po części pod adresem twórcy Parsifala).

I powiedzmy dla przykładu tylko: gdyby ów sędziwy kościół kiedyś zwyciężyć nawet miał, to zanim zwyciężyć zdoła, rdza jałowego sceptycyzmu przetrawi wszystkie formy życia. Co więcej! jałowa ciekawość tak prze-

pali wrażliwość dusz, że to jego problematyczne zwycięztwo będzie jednem z upragnionych „tak!“ dla ciekawości, wobec wielu równorzędnych apatycznych „nie“ wczorajszego entuzyazmu.

W mieście, naprzykład, które dla swej pstrokacizny i jurności również „Pstrą Krową“ mianowaćby się mogło, gromadzi „biologicznie fałszywy“ twórca Parsifala wokół Czary Grala ciekawe hordy ludzkie, nie mogące mieć nic wspólnego ani z jej symbolem wiary, ani też z jej symbolem ideału, a najmniej chyba z rycerską w służbie ideału tego „wiernością samemu sobie.“ Świadczy o tem, prócz nosów węszących równie chciwie sensacyę jak zyski, zasadnicza nierzetelność wrażeń i uczuć, przebijająca jaskrawie z każdego gestu. Ci ludzie, z uchem, gębą i podbrzuszem zamiast duszy, swą liczebnością i życiowemi wpływy zaważą z czasem i na duchowem życiu społeczeństwa, a raczej poczną mu z czasem odbierać wszelką ważkość.

Z czary Grala ulotni się najistotniejsza jej treść, wyczuwalna tylko w chwilach prawdziwego „podniesienia“: potęga zniewalającego dusze symbolu. Kryształna czara ideału, sztuka „czysta“ stać się może wtedy rzeczywiście pustą. Tem natrętniej wołać będą nowi jej wielbiciele, aby się wypełniała winem t. z. przez nich ż y c i a, jako upojną podnietą do użycia.

Życie pocznie się w ten sposób konsekwentnie wyzbywać nietylko przewodnictwa idei, ale wprost kierunku. Silniejsze nawet jednostki przestaną się zaawanturowywać w dziedzinę własnego prawodawstwa i własnej moralności, przekonawszy się, że te wymagają tak wytrwałej i zawsze napiętej woli, że przy pierwszem jej zachwianiu życie staje się cięższem do zniesienia od najbardziej uległego poddaństwa. Ostrożność i praktyczna przebiegłość nauczy ich, że określony cel jest zbędny, że bynajmniej nie trzeba przewidywać, by módz żyć, żyć szczęśliwie! Egzystencya, tem zbrataniem jałowego sceptycyzmu z praktycznem wyrachowaniem tak bezdennie nikczem-

na, oprze się całym ciężarem na bezwładzie i nawyku, pozostawiając przykazania i normy, z których czasy wszelką treść już wywiały, jako umówione pozory, jako przydatne słupy graniczne dla ostrożnych ujawnień życia.

Zaś to życie, pozbawione wszelkich „wartości,“ nie jest bynajmniej zmorą przyszłości, ta chmura już dziś zawisła nad człowiekiem.

A zwie się ona: nihilizmem współczesnym.

Takim też będzie (takim jest już!) człowiek ostatni, o którym kazał Zaratustra na rynku, — „człowiek, co niezdolny będzie wyrzucić strzały tęsknoty ponad człowieka, gdyż zwietczeje cięciwa jego łuku... po tysiąckroć wzgardy godny człowiek, co nawet samym sobą gardzić już nie zdoła... Czem jest miłość? Czem twórczość? Czem tęsknota? Czem gwiazda? — tak pyta ostatni człowiek i mruży wzgardliwie oczy.“ —

„Każda dusza musi czemkolwiek być poruszana, — powiada gdzieś Mickiewicz, — jeśli nią nie ruszają rzeczy wielkie, to się będzie ruszać w niskości i podłości.“

III.

Daj nam, Zaratustro, ostatniego człowieka, uczyń z nas ostatnich ludzi, a darujemy ci twego nadczłowieka“ — odpowiedział lud na rynku na pierwszą mowę Zaratustry. W lat kilkanaście po śmierci Nietzschego czynią to niektórzy krytycy jawnie i świadomie, większość zaś czytelników w milczeniu i bezwiednie: wszyscy oni akceptują krytykę współczesności w dziełach Nietzschego, odrzucając ideał nadczłowieka.

Analiza wartości dzisiejszego życia bez nowego dlań ideału i nowej nadziei byłaby nie „odwróceniem“ tychże wartości, lecz ich nihilowaniem, poczynałaby się nie z „woli mocy“ lecz z „woli nicości:“ Zaratustra wiódłby najprostszą drogą do ostatniego człowieka.

Co też niejednokrotnie czyni!.. Najchętniejszym posłuchem darzą Nietzschego te mdłe dusze, dla których

najroskoszniejszą strawą jest zawsze negacya wszelkich wartości, zkądkolwiekby ona pochodziła i do jakichkolwiek wiodłaby celów. One bo do żadnego celu dowieść się nie dadzą: dla nich ideał będzie zawsze czemś sztucznem, wobec ich jałowego sceptycyzmu na długo ostać się nie mogącem. Samo uświadomienie w sobie nihilizmu nie jest bynajmniej jego przezwyciężeniem,—pisał Nietzsche—przeciwnie ono pogrąża weń stokroć głębiej. Tak więc na wspak celom, zamierzeniom i logice własnej twórczości stać się mogą pisma Nietzschego wprost biblią tego nihilizmu, który był dlań największą grozą przyszłości.

Nic tak nie syci jałowego sceptycyzmu, jak życiowe karykatury każdego ideału. Nic tak bardzo nie było na rękę takim czytelnikom Nietzschego, jak te lekkie duszyczki wraz gotowych nadludzi.

Co się tyczy tych ostatnich, wylano na nich z gazet tyle żółci, a przedewszystkim tyle wody, że owi pierwsi młodzieńczy prozelici, zda się, już w niej potonęli. Ci nadludzie z farsy i sentencyjnego felietonowego morału wywołani zostali domowem, zda się, nieporozumieniem między rozmaszystością młodej naiwności, a niedołężnym lamentem starej.

Mimo całej groteskowości tej niedawnej jeszcze maskarady nadludzi, mimo, że trzy czwarte z tych masek zasługuje tylko na wzruszenie ramion, część pewna mimo wszystko zastanowić musi. Wszak to wrażliwość na sprawy duchowe objawia się w sposób tak dziwaczny? wrażliwość bądź co bądź zawsze cenna, a tembardziej u nas i dzisiaj! — wrażliwość wreszcie, którą zawsze łatwiej wykoszlawić tłumieniem, niźli nią pokierować. Ujawnia się ona przytem w wieku, w którym duchowe pobudki przenoszą się z całą bezpośrednią naiwnością do najbliższej namacalnej realności. W pewnym wieku przenosić się one tam będą zawsze; tem pewniej, im rzetelniejszym jest ten proces wewnętrzny.

Wszak to u dziewcząt tylko, pod maską chichotu, grymasów, śmiechu i pozorów, pod całą słoneczną wibracyą wiosennego życia, dojrzewa, niewiadomo gdzie, czem i jak, nieraz całkowita i zwarta dusza kobiety. U młodzieńców odbywa się i to wewnętrzne nawet dojrzewanie żmudniej, boleśniej, dla oka zawsze niemiłej, dla otoczenia nieznośniej i najczęściej pod patetyczną maską: kotłujeż bo się w nich więcej duchowej energii. W tym ponurym otroku, w tym rozwichrzeńcu z nadmiaru i bujności wewnętrznego życia, dojrzewa nieraz żywa dusza dzielnego człowieka.

I czemże są wobec tego dawne jego maski i koturny, czem wszystkie gorączki polityczne, febry ideowe, erupcye nadczłowiecze, jeśli nie dyagnostyczną wprost cechą energii duchowej? czem, jeśli nie reakcyą tłumionego życia?

Gdzie bujny temperament z bystrym duchem kojarzą się siłą młodości, tam nawet nikczemność bardzo zdolnego człowieka ma coś z hazardu, karkołomnego rzutu i niespodzianki: i w tem jest zadatek własnej woli. Taki nie potrafi się nigdy ukryć całkowicie za ideową tarczą, uczynią to raczej bardziej limfatyczne, kunktatorskie i mniej zdolne głowy, typu *Disciple*'a. Tamten, wyzywający swym postępkiem wszystkich, obnaża zwykle nieopatrznie najboleśniejsze swe miejsce: jego łatwo z nóg zwalić. Typ *Disciple*'a przylega do swej namiętności płasko i przyziemnie i potrafi zawsze jeszcze w porę cofnąć się do swojej skorupy, — ów nie ma nigdy tak długich, a zwłaszcza tak pilnych i metodycznych namiętności. Ten jest właśnie „uczniem,“ zapożyczającym inteligencyi od mistrza, a ideowej broni z książek; wszystko, czego się dotknie, a więc i własną namiętność zaczyna wnet traktować fachowo i metodycznie; jest wreszcie schematem schematycznej psychologii Bourgetowskiej. — Tamten jest nawskroś moszczem i fermentem idei, dojrzewa nią wewnętrznie i kompromituje ją nazewnątrz w postępkach; a co ważniejsza, i te postępki stają się dlań fermentem całkowicie bezinteresownej pracy ducha w głębokiej i serdecznej jego ekspiacyi. Truposzek bourgetowski zdolny jest jedynie do pokuty, i to wówczas dopiero, gdy ma nóż na gardle; lecz i tę pokutę nawet sprawuje pilny uczeń metodycznie, zimno i w istocie swej nietwórczo, jak Bourget swe powieściopisarskie rzemiosło salonowego psychologa. — W postępkach tamtego, przy całym ich życiowym niesmaku, jest zawsze własna linia, jakaś niespodziana arabeska, nawet pytajnik danego postępku staje tu na głowie: ci ludzie niepokoją bardziej cudzą myśl, niżli cudze sumienia. To też, gdy moraliści z patetyczną flegmą preparują truposzka bourgetowskiego,—tego przedbiegacza wszyst-

kich heroldów obrzucają bez namysłu błotem: on jest żywszy, a więc niebezpieczniejszy, on wnosi więcej życia i fermentu naokół, niźli, wystygłszy, sam w to w przyszłości uwierzyć zechce.

Bo wszystko, co się tu rzekło, ma swe bardzo określone granice młodości. Gdy to jej żywiolowe kojarzenie bujnego temperamentu z bystrym duchem osłabią doznane krzywdy i roztropność, wówczas ze wszystkich postępków pocznie wyzierać płaskie i zezujące oblicze sprytu. Moraliści wiedzą, że to jest w życiu człowieka pora kompromisów, czynią też pierwsze kroki do pojednania pod wspólnym płaszczem obłudy.

Owe „trzy czwarte," tu milczeniem pominięte, zasługują może, prócz wzruszenia ramion, na refleksye na temat intelektualnego murzynizmu, wypowiadającego się całkowicie w bujnym fermencie młodości, przy obfitości i nadmiarze gestów. — „Uebermensche" z przedwczoraj dogorywają dziś duchowo jako bardzo uległe piony po biurach, tych katakumbach tylu naszych zdolności za ostatnie lat 40. Murzynizm ten pojęty został przez praktyczny rozsądek jako zasada ogólna i doprowadził do brutalnego wprost lekceważenia wszelkiego intelektualizmu ze strony wszystkich autorites i notabilités uroczystego zastoju.

Nadczłowieczeństwo realne i dzisiejsze, nadczłowieczeństwo z farsy jest, jak się rzekło, wynikiem nieporozumienia między młodą i starą naiwnością. Każde zamierzone wcielenie ideału w bezpośrednią realność może dać w rezultacie zawsze tylko karykaturę. Ideał skrzepia wolę temu tylko, kto prócz woli ma jeszcze i cel własny: ma go w sercu, w głowie, w trzewiach nieomal; kto jest fatalnością zamierzonego dzieła, jest na nie piętnowany właściwościami swego umysłu i doskonale udałem ciałem. A że takich ludzi dziś prawie niema, więc nadczłowiekowi zbraknąć może nawet ewolucyjnego materyału dla najdalszej bodaj przyszłości.

Wspomnieliśmy, że Zaratustra może się stać łatwo wiecznym zwiastunem samego siebie, że tego progu nadziei gotów nigdy nie przekroczyć. Instynktu i woli ze

swej krynicy ludziom on nie doleje: im głębsza studnia, tem wątpliwsze w niej te właśnie dary.—Czy, gdy uśpione, nie zbudzą się one raczej wobec tego, co na pozór tak lekkie i zewnętrzne, jak ów „piękna święty śmiech i drżenie?“ Czy nie zbudzi ich raczej to, o czem raz jeden zdarzyło się marzyć nawet Zaratustrze: — „to najcichsze, to najlżejsze, jaszczurki jednej szmer, jedno tchnienie, jeden mig, oka jedno mgnienie:“ — szczęście!?..

Zaś najmniej zdoła Zaratustra udzielić owych mocy tym, dla których z piersi by je sobie wydarł i w ich żyły przelał: przyjaciołom swym! — tym, którzy własną myślą połowę jego drogi już przeszli i zatrzymali się bezwolnie nad przepaścią nihilizmu: dzisiejszym ludziom wyższym. Współczucie dla nich było wszak ostatnim grzechem i ostatniem pokuszeniem Zaratustry: wszakże nim ostatnie południe nadeszło, minął temu współczuciu czas.

„Nie na was oczekuję w tych górach... Nie! nie! potrzykroć nie!.. Czekam na wyższych, bardziej krzepkich i zwycięzkich, na dorodniejszych ciałem i duchem: śmiejące się lwy przyjść tu muszą.“

W ich nadejście, bodaj w najdalszej przyszłości, wierzy wraz z Zaratustrą i Nietzsche, opierając się na teoryach descendencyi, w ich koncepcyi z przed 40 lat, pojmowanej przytem dosyć ogólnikowo. Krytykowany w wielu miejscach Darwin (krytykowany czasem za siebie, częściej za Lamarcka) zostaje tu akceptowany dosyć bezwzględnie k'woli ogólnemu zużytkowaniu zasady przemiany gatunków w sensie postępowego ich rozwoju i celowej hodowli w kierunku fizycznego i intelektualnego udoskonalenia rasy ludzkiej.

To marzenie dzisiejszych humanistów, antropologów i lekarzy pozostaje tymczasem marzeniem, opartem na hypotezie, chwiejnej w zastosowaniu nawet do hodowli zwierząt, podlegającej dziś zwłaszcza ściślejszej rewizyi

i doświadczeniom w kierunku już wyłącznie naukowym. — Co się tyczy ludzi, to potężny czynnik życia społecznego, czynnik t. z. ekonomiczny (od którego pojęcie „walki o byt“ wywodzi się wszak genetycznie) będzie nikłe zabiegi „hodowli“ niweczył w olbrzymich masach ludności. Potęgując stokrotnie walkę o byt, odwraca on wszak jej naturalne wyniki wprost na opak. Zwycięzki struggle-for-lifer nie ma nic wspólnego z fizyczną lub intelektualną wyższością, a najmniej chyba ze śmiejącym się lwem.

Tenże czynnik paraliżuje całkowicie regulującą i utrwalającą moc doboru płciowego, zostawiając otwarte pole dla chaosu nietylko ras, plemion i warstw, cech narodowych i właściwości klimatycznych, lecz dla znamion uwstecznienia, kalectwa i chorobliwości.

W Spencerowskiej formule „przeżycie i utrwalenie najbardziej dostosowanego“ mieści się przedewszystkiem i najlepiej: „przeżycie miernego.“ Nie brakłoby na to przykładów ze świata roślinnego i zwierzęcego; a takim bywa niechybnie zwycięzki typ czynnika ekonomicznego. — Pozatem, w tejże formule mieści się doskonale: przeżycie skarlałego, najmniej wymagającego od życia, ekspensującego natomiast całkowitą energię na rozmnażanie się najobfitsze. Przykładem w naturze są te uwstecznienia pasorzytnicze, w których zwierzę, tracąc kończyny i organy wszelkie, całą nawet treść ciała, zamienia się w wór jaj, w którego otworze pasorzytuje znów do mikroskopowych rozmiarów zmarniały samiec. Czynnik ekonomiczny bierze pośród ludzi i tę species w szczególną opiekę, doprowadzając metaforycznie do podobnych mniej więcej rezultatów.

Formuła Spencerowska wyklucza całkowicie przeżycie i utrwalenie się typu pod względem budowy i czynności najbardziej złożonego, ujawniającego największą sumę energii w najróżnorodniejszych jej przejawach, a więc

typu doskonałego. Czyni to również i całokształt teoryi Darwina w jej konsekwentnem zastosowaniu do człowieka. — Z piekielnego kotła, jakim pod tym kątem widzenia jest dzisiejsze plenienie się ludzi, można dobyć nie ideał, lecz najczarniejszą grozę przyszłości. Zdawał sobie z tego sprawę i Darwin pod koniec życia; było to, jak sam powiada, zgryzotą jego starości.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa z dzisiejszego punktu widzenia, którego nie uwzględniał, a po części nie mógł jeszcze uwzględnić Nietzsche. — Zakwestyonowana dziedziczność cech nabytych, będąc poważnym szkopułem dla konsekwentnego rozwinięcia darwinizmu, przenosi punkt ciężkości spraw descendencyi z indywidualności cielesnej zwierzęcia, będącego w bezpośredniem zetknięciu i walce z otoczeniem, w stokroć głębsze i bardziej zawiłe tajniki indywidualności komórek rozrodczych. Dokładniejsza rewizya doświadczeń hodowców poucza, że nowe odmiany nie powstają bynajmiej drogą darwinistycznego schematu; one zdają się jawić „nagle i niespodzianie, jak Minerwa z głowy Jowisza w całkowitym rynsztunku nowych właściwości i cech.“ I wówczas regularna dziedziczność podlega pewnemu zachwianiu w szeregu pokoleń: nowa odmiana bądź utrwala się na zawsze, bądź też, mimo krzyżowania z odpowiednio zmienionemi, powraca do dawnego typu; — rzeczy w praktyce już dawniej znane i mające u hodowców specyalną nawet terminologię. — U niektórych roślin dało się stwierdzić w onym okresie zachwiania dziedziczności w dotychczas równym łańcuchu pewną rytmikę w pokoleniach i zmianach, dającą się może ująć w wyraz matematyczny. Co więc w szeregu egzystencyj jednostkowych wydaje się nagłem i niespodzianem, ma swe głębsze powody i przyczyny (oraz inne ich falowania niźli rytmika istnień indywidualnych) w długim (nieskończonym?) genetycznym łańcuchu komórek rozrodczych, wobec których jednostka jest niby krótkotrwałą skorupą, niby rychło przemijającym pędem trwałego podziemnego korzenia.

Tak więc, obok potężnych czynników descendencyi wskazanych przez Darwina, wyjawiają się nowe, snadź ważniejsze. I skorupa może oddziaływać na genetyczne jądro przez dobór płciowy,

oraz przecinanie pewnych łańcuchów genetycznych w walce o byt. Na pierwszy plan występuje jednak zagadnienie układu sił w komórce genetycznej i zmiany zachodzące w historyi tejże komórki. Cokolwiek utrzymywaliby hodowcy, osiągnięte przez nich rezultaty są szczęśliwem utrwaleniem szczęśliwych przypadków. Nabyte cechy nie oddziaływają bezpośrednio na komórkę rozrodczą, a ujawnienie nowych cech i właściwości ma swój początek w głębokiem i wiecznem (?) źródle komórki rozrodczej.

Te wszystkie sprawy, dziś bynajmniej jeszcze nie jasne, komplikują się nieslychanie pod wieloma względami (chociażby przez dopuszczenie pośredniego oddziaływania komórek somatycznych na rozrodczą).

Bądź co bądź narzucają one uwadze z tem większym naciskiem najważniejszy czynnik wszelkiej ewolucyi: c z a s, potęgując go do rozmiarów, które mogą być mgnieniem w historyi ziemi, okresem długim w historyi gatunku, ale dla historyi cywilizacyi stają się nieomal wiecznością, czyniąc wszelkie marzenia cywilizacyjnej hodowli człowieka już zbyt iluzorycznemi.

To, z konieczności zbyt zwięzłe, omówienie spraw descendencyi było niezbędne dla tego właśnie wniosku, oraz dla wskazania, jak bardzo pokładanie nadziei w sztucznej hodowli p r z e n o s i p u n k t c i ę ż k o ś c i k o n c e p c y i n a d c z ł o w i e k a, czyniąc z ideału myśliciela i poety, z potężnej dźwigni psychicznej utopię przyrodniczą i społeczną.

To ostateczne oparcie ideału na schematycznym darwinizmie jest u Nietzschego ostatnim podźwiękiem dawnego pozytywizmu.

Tu zaś idzie przedewszystkiem o ewolucyę tych właściwości psychicznych, którym na wspak działa układ wszystkich sił społeczno-ekonomicznego rozwoju, wszystkie potęgi descendencyi. Nadmiarem skupionej w jednym osobniku energii stwarza sobie gatunek wroga, wychodzącego po za szranki jego interesów. (Podobnie nadmiarem skupionej w jednym narodzie kultury wytwarza naród wroga swych namacalnych, materyalnych interesów: wybujały, schyłkowy indywidualizm, wraz z jego kosmopolityzmem).

Wśród miliona lichych płonek, jeden monstrualny wyrostek odrywa się niejako od podziemnego, trwałego korzenia, wiedzie życie samodzielne i rozmnaża się inną drogą: jakby pąkami — w sferze ducha.

Czy, mimo niedającej się wykluczyć możliwości pewnej ewolucyi psychicznej człowieka, wszystkie utopijne szczyty nie pozostaną zawsze tam, gdzie ideał jest bądź co bądź bardziej u siebie w domu: w sferze ducha? Czy o jego powstaniu i utrwaleniu się nie będą decydowały czynniki dziś niemniej potężne: „walka o byt“ duchowy i „dobór“ pracowników z duchowego powinowactwa? Czy nie wytworzą oni przedewszystkiem tej atmosfery, w której będą mogły wreszcie dojrzewać i ujawniać się, dziś tłumione i paczone, najrzadsze, najcelniejsze okazy człowieczeństwa?

Bo tak często używane, nadużywane niemal, słowo kultura ma i dla Nietzschego, jak dla wszystkich wykwintniejszych umysłów wieku, ten tylko cel i to dążenie. Zewnętrzna zwartość i harmonia, piętnowana t. z. „stylem“ epoki, jest tylko jej powłoką, drogocenną skrzynią, w której spoczywają jej skarby duchowe, złożone przez owe najcelniejsze dusze.

Tą miarą mierzy też ludzkość wartość każdego narodu.

O klanach, czy też rodach władców dusz, nie wie nic nietylko historya, o nich milczy i legenda: tak dalekie były doświadczenia ludzkie od pomyślenia tej możliwości. W legendzie i historyi, jak i na oceanie bezkresnych możliwości natury, jawią się oni „nagle i niespodzianie, jak Minerwa z głowy Jowisza, w całym rynsztunku“ nowej i potężnej indywidualności. Przy coraz głębszem przewarstwianiu społeczeństw, bezkresna możliwość ujawnienia tych darów natury zastąpić może myślom utopię

sztucznego chowu. Morze człowieczeństwa jest większem źródłem życia i przyszłości, niźli najgłębsze nawet krynice w sztucznych opłotkach hodowcy.

A z tego morza występować będzie nie raz jeden, jutrzenka ideału w sferze czucia, wiedzy i woli: świętego, mędrca i twórcy zarazem.

IV.

Oto moja droga,—mówił Zaratustra do swych uczniów.—Jaka jest wasza? Droga?.. Niemasz jej zgoła!“

Oto moja droga,—mógłby powtórzyć wobec dzieła swego życia. Bo czemże było to wszystko: zagadnienie wartości dzisiejszej oświaty, dzisiejszej kultury wogóle, zagadnienie zrodzone potęgą kontrastu z najdoskonalszą kulturą Greków; czem było rozszerzenie tego problemu na kulturę moralną, na teoryę, genezę i wartość morału dla życia, na genezę i wartość probierza prawdy dla tegoż życia? czem kult geniuszów jako dźwigni kulturalnych, entuzyazm dla Schopenhauera i Wagnera, krótkie zboczenia w cieśnie angielskiego pozytywizmu, w męskie ślady moralistów francuzkich, aż do nieubłaganej analizy wszystkich

wartości współczesnego życia? Czemże była zuchwała próba „odwrócenia wszystkich wartości,“ koncepcya „woli mocy“ w przeciwstawieniu do bezprzedmiotowej „woli“ schopenhauerowskiej, wreszcie, dla wywyższenia człowieka i życia, stworzenie ideału „nadczłowieka?“ Czemże było to wszystko, jeśli nie drogą do samego siebie? Drogowskazy i konieczności tej wędrówki spostrzeże uważny czytelnik już w pierwszych pismach, będących jeszcze, tak co do formy, jak i co do treści, w całkowitej zależności od Schopenhauera. Złota nić jednego celu, zapatrzenie się w coraz to wyraźniej występujący jeden ideał życia rzuca się poprostu w oczy. Jest to rzadki pisarz, którego tomy ostatnie, mimo uprzednich a pozornych zboczeń i wpływów, odpowiadają na pytania i wątpliwości pierwszych.

Befreiung—oswobodzenie: to słowo Goethego o twórczości daje i tutaj dużo do myślenia. Czy każda droga duszy nie jest fatalną koniecznością zdzierania z siebie wylin w mozolnem docieraniu świadomości do czegoś, co, poprzez stawanie się wszelkie, właściwie ludzi pociąga i fascynuje,—do istotnie odrębnej własnej jaźni?

Taką jest droga i kres tej wędrówki. A cel jej ostateczny? — „Celu? — mógł był odpowiedzieć nie Zaratustra, lecz jego „Cień“ — celu? Niemasz go zgoła! Jak niema Boga, dobra, cnoty, prawdy!“

Lecz poprzez tę zawrotną przepaść nihilizmu przerzucił Zaratustra most aż ku wieczności:

Jest życie! oraz jego „wola mocy!“

Życie, powracające koliskiem wiecznego wrotu rzeczy wszelkich, „zawsze jednakie, zawsze sobie równe, zarówno w rzeczach wielkich jak i małych“ [1]).

---

[1]) Rzecz wprost niepojęta: Nietzsche ignorował całkowicie pytagorejskie pochodzenie idei wiecznego wrotu. Uważał ją za naj-

Mamyż koniecznie stać się wyznawcami Nietzschego? Czy nie stoimy tu już o krok od innej wiary: od metampsychozy, tem fatalniejszej, że powracającej po wieki wieczne do tożsamości? —

Czy nie spojrzymy na to kolisko, jako na konieczność poety, co, zawleczony przez myśliciela, psychologa i wychowawcę w wir życia, w wolę mocy, przecie ponad nie wzbić się m u s i a ł, by na tej paradoksalnej bodaj drodze ciągłego wrotu realnego życia trafić do wrót wieczności?.. „Nigdym nie napotkał kobiety, z którąbym dzieci chciał. Snadź ta jest kobietą, którą kocham.“ — Nie zwie się ona jednak „wolą mocy,“ „wiedzą,“ „mądrością:“ nie kochał snadź dosyć tych kobiet, którym życie swe oddał.

Porywała go snadź fala przechodząca górą ponad całym stworzonym przezeń światem. Nad psychologiem, wychowawcą i mędrcem, nad mistrzem nieugiętej siły życiowej, nad burzycielem moralności, nad pogromcą bogów, górowała siła fatalniejsza od śmierci: przemagało go może Fatum, co snadź nie tylko bogami, lecz i bogów pogromcami rządzi, — przemagał go niechybny mus poety, tęsknota każdego twórcy...

E pur si muove: „albowiem kocham ciebie o wieczności!“ —

I na odwrót: dla myśliciela i wychowawcy staje się ten pierścień wiecznego wrotu rzeczy wszelkich najpotęż-

---

szczytniejszą własną koncepcyę, tak przytem w swej potędze przepaścistą i zawrotną, że do objawienia tych swoich najgłębszych myśli przystępował i Zaratustra z tak szczerą trwogą, z tak korną nieufnością we własne siły i z takiem poczuciem musu ich wypowiedzenia, iż „w tę najcichszą godzinę“ dobywa się może uczuciowo najgłębszy ton owego wielkiego dramatu twórczej woli, jakim jest wraz z „Zaratustrą“ i życie Nietzschego.

niejszem potwierdzeniem życia i jego „woli mocy“: ostatniem „tak!“ i „amen!“ wygłoszonem (w ostatecznem przeciwieństwie do Schopenhauera) nawet wobec bólu... „Zgiń — mówi człowiek do bólu, — lecz powróć! Bo gdzie głęboki ból, tam rozkosz już już się jawi.“ Bo rozkosz głębiej drga i jest w życiu tchnieniem wieczności. Więc jeśli tylko życiową realnością i tylko bólem da się ta chwila okupić... „Hejże, jeszcze raz!“ woła w Zaratustrze nawet „najszpetniejszy człowiek.“ K'woli tej jednej chwili niech powróci wszystko, co się życiem zwało. Bo ta jedna okupi wszystkie inne; ona, i tylko ona

za wiecznem życiem łka,
wieczności chce bez dna, bez dna!

A to błogosławieństwo bólu k'woli rozkoszy, rozkoszy k'woli jej twórczej głębi i doznaniu za życia tchnienia wieczności: oto prawdziwa „śmiechu korona różańcowa,“ oto złote jabłko życia, jakie konający Zaratustra przerzuca uczniom swoim, szepcąc może stygnącemi wargi: „Hejże, jeszcze raz! niech w pierścieniu wiecznego wrotu rzeczy wszelkich powróci wszystko, co się m o j e m życiem zwało!“ —

Niech więc i dla nas owo wrotu kolisko wieczne będzie raczej odczuciem bezmiernej potęgi twórczych tęsknot w człowieku, raczej doznaniem bezkresnej pełni człowieczeństwa w geniuszu, które samo przez się jest w życiu tchnieniem wieczności. — Z tem uczuciem, z takiemi myślami, łatwo wyrzeczemy się pono wszystkiego, co jest z doktryny i dogmatu w onym „pierścieniu wiecznego wrotu,“ wszystkich nowych artykułów nienowego wyznania.

I z tem jeszcze trudno przyjdzie pogodzić się dzisiejszemu człowiekowi: jego przekonania zdają się mimo wszystko chylić ku temu, że, choćby nawet w świecie

rzeczy wszystko już było, każda twórczo ujawniająca się dusza jest czemś, czego jeszcze nie było. A czy te jej wysiłki wpadają w otchłań nicości, czy wplatają się w pierścień wiecznego wrotu rzeczy wszelkich, czy też zlewają się wszystkie w jakąś jedyność wszystkokrotną: — by którąkolwiek z tych szali przechylić, bodajby tylko w czuciu ludzkiem, potrzeba takiej potęgi sugestywnych środków, jakiemi nie rozporządza już geniusz poety. Te środki wytwarza geniusz rasy i wieki całe, a czas osłania je majestatem tajemnicy i objawienia.

Oto siłą kontrastu jawić się muszą dawne tajemnice, ujarzmiające myśl ludzką, na progu grobu. Pominąwszy nawskroś wrogi każdemu słowu Nietzschego kres Nirwany, — przypominać się muszą, naogół mniej wrogie, lecz dla pierścienia wrotu bardziej groźne koncepcye Upaniszad (tych Upaniszad wyprzedzających myśl ludzką na tysiącolecia, a będących np. dla Schopenhauera najgłębszemi księgami świata). Według nich, czas jest złudzeniem Avidyi (omamem wrodzonego realizmu). W języku dzisiejszych filozofów brzmi to za Kantem: czas nie jest istnością, lecz formą myślenia.

I czemże jest wobec tego pierścień wiecznego wrotu? — I tu oto jest filozoficznie słaby jego punkt, o który zahaczyć się on może w swym wiecznym obrocie.

Jak umierał Zaratustra? — zapyta może niejeden, zamykając tę niedokończoną książkę.

A czuć, że ona jest niedokończoną, jak nie mają końca wszystkie książki, mówiące o duszy ludzkiej, jak te księgi wschodu, z których Zaratustra pożyczył sobie imienia, a tu i owdzie nawet i formy. Po raz ostatni widzimy Zaratustrę, gdy, promienny niby jutrznia, schodzi z gór naprzeciw, już nie uczniom, lecz samodzielnym dzieciom

ducha swego. To pytanie, domagające się mroku i śmierci, może się wydać trywialnym dysonansem, wobec ogromnej pogody owego święta świąt: południa dnia siódmego, kiedy siewca po plon swój schodzi. A jednak ta przyczyna zewnętrzna, kończąc dzieło formalnie, wywołać musi raz jeszcze zadrganie przyczyn ostatnich, i to najsilniejsze.

Tak pytający nie zdziwi się więc zbytnio, znalazłszy w pismach pośmiertnych szkic na Część Piątą Zaratustry, a w jej zakończeniu zarys takiej oto sceny pod tytułem „Południe i wieczność:“

— Miasto zadżumione. Uczniowie powstrzymują Zaratustrę i chcą mu bronić wstępu w mury miejskie: on wstępuje nietrwożny. Przeciągają wielkim korowodem wszystkie formy pesymizmu: żądza „odmiany,“ żądza „nie,“ żądza „nicości.“ Zaratustra daje swe zwykłe objaśnienie: Bóg umarł, miałożby to być przyczyną największego niebezpieczeństwa? Zali nie powinno się to stać powodem największej otuchy? — Opuszczony przez przyjaciół (pociągniętych zapewne w trwodze przed dżumą korowodem pesymizmu) kona sam. Błogosławiąc wszystkim doznaniom swego życia, umiera błogosławiący. —

Przedewszystkiem jest w tym surowym szkicu zapowiedź potężnego końcowego akordu. Pozatem mówi to wiele o „Południu.“ (Chociażby ten korowód pesymizmu, jednak i mimo wszystko w ostatnią godzinę życia, to poniechanie przyjaciół, to błogosławieństwo udzielone nawet dżumie z nadmiaru i pełni własnego szczęścia!)—Do „wieczności,“ do pierścienia wrotu rzeczy wszelkich nie dorzuca ten szkic nic zgoła.

Wiemy wszakże już!—radosne potwierdzanie samego siebie stworzyło ów pierścień wrotu: w radosnem poczu-

ciu dokonanego dzieła życia błogosławi Zaratustra wszystkie swe doznania na ich wieczne wroty, a bezkresna zachłanność takiego szczęścia wszechświat cały za sobą pociąga.

Krańcowe przeciwieństwa mają nieraz bynajmniej nieprzypadkowe ku sobie pochylenia, niby bieguny odmiennej elektryczności, między któremi iskra światła paść musi. A gdy o tych tajemnicach grobu mowa, są jako dwie jedną grozą brzemienne chmury, które wiąże błyskawica. K'woli takim przeciwieństwom niech tu będzie przytoczona modlitwa konającego z upaniszady *Isi*, modlitwa do słońca, aby rozchyliwszy promienie swe okazało czcicielowi prawdy tajnię bytu. Może krótki błysk światła między temi przeciwieństwami pozwoli przynajmniej wyczuć, co w nich jest z przeciwieństwa dusz i czasów, a co z zawsze jednakiej konieczności ludzkiego ducha:

„Jak złotą tarczą przysłonięte
„Jest prawdy łono tajemnicze.
„O, uchyl słońce twą przyłbicę,
„Niech czciciel ujrzę tajnie święte!

„O Słońce, niebios wędrowcze ty samotny, wszech„widzu jedyny, Boże promienny, Pratwórcy synu, „rozchyl promienie swe i w siebie wchłoń przepych swój „ognisty! Widzę już, widzę postać tę przejasną: Istota „w wnętrzu twem — to jestem ja!

„A teraz oddech mój niechaj wchłonie tchnienie „wszechświat przenikające, Tchnienie przedwieczne; „a ciało to niech ogień w popiół rozsypie... O, duchu „pomnij, na dzieło swe pomnij! O, duchu pomnij, na „swe dzieło pomnij!

„Niech Światło wiedzie nas, najprostszą wiedzie z dróg
„Do końca wszczętych dzieł, dróg wszelkich świadom Bóg!" [1])

W zmierzchu bogów wszystkich ten jeden żyje jeszcze w duszy współczesnej i on to w niej rodzi pragnienie drogi do dzieła najprostszej, drogi wolnej do samego siebie! W zamęcie czasów dzisiejszych, wśród „zmierzchu bożyszcz" wszelkich, wśród ruin i gruzów starych „wartości," poprzez trzęsawiska wszelkiej obłudy, pragnął Nietzsche przerąbać drogę do dzieła najprostszą wszystkiemu, co twórcze, co przyszłość wywyższonego człowieka ze sobą niesie. A czy tego władcę przyszłości nazwiemy „nadczłowiekiem," czy też człowiekiem tylko w przeciwstawieniu do dzisiejszych skarlałych, istotą o źrzałem i pełnem człowieczeństwie, — to jest przecież tylko rzeczą imienia.

Choć więc podręczniki nie zapiszą Nietzschego między wielkich filozofów, choć „literatury" nie zmumifikują go rychło, jako wielkiego poetę, stał się on przecie fatalnem przeznaczeniem czasów dzisiejszych: imienia tego myślący człowiek ominąć nie może, jak nie zdoła uchylić się od wewnętrznej rewizyi wszystkich „wartości" dzisiejszego życia, wszystkich nakazów morału i ideału. Ominąć to wszystko znudzeniem potrafi tylko pajac, przyklejać się do liter i tomów tylko ślimak, karmić się wyłącznie negacyą wszelkich wartości, oraz z konieczności tylko przełkniętym wraz z nią „ideałem," zdoła wyłącznie prze-

[1]) Tłóm. na podstawie przekładu Sitarama Sastri (The Isa, Kena and Mundaka Upanishads) oraz Deussena (60 Upan. des Veda). Angielski przekład doskonale dosłowny i całkowicie martwy, niemiecki z większym niby polotem, lecz i znacznie większą dowolnością. Tylko zestawienie obu może skontrolować polski przekład.

Ostatni refren jest według komentatora modlitwą otaczających.

żuwacz; wysnuwać wreszcie z tego wszystkiego dyrektywy życiowego łupiestwa umie pospolity opryszek, dla którego każda idea czasu przychodzi w porę, aby pozorować i osłaniać manipulacye zawsze chciwych palców. Zaś szaty rozdzierać będą stale ci wszyscy, którym to łatwiej przychodzi od myślenia i bardziej się ponadto opłaca.

Będzie Nietzsche długie jeszcze czasy „biegnącym ogniem," budzącym wszystko gnuśne, wypłaszającym z kryjówek wszystko zakłamane, będzie wreszcie tem, czem od pierwszego wniknienia w życie stać się zamierzył: — „wychowawcą, hodowcą, sfornego chowu mistrzem, który niedarmo nawoływał niegdyś samego siebie: „Stań się, kim jesteś! —[1]).

Wacław Berent.

[1]) Ten szkic „zamiast wstępu" ma być przedewszystkiem wprowadzeniem i pierwszym akordem dla tych, którzy pisma Nietzschego po raz pierwszy do rąk wezmą. Ani wyczerpujące omówienie spraw duchowości współczesnej, o których tu przeważnie mowa, ani metodyczne rozpatrzenie wszystkich pism Nietzschego w ich rozgałęzieniach w dziedzinę teoryi poznania, nie było i nie mogło być moim zamiarem. Suplement do dzieł wydawanych w przekładzie polskim zawierać będzie studyum tego charakteru innego pióra. Niecierpliwy czytelnik znajdzie tymczasem zarówno w polskim jak i obcych językach niejedną rozprawę „o filozofii" Nietzschego. W suplemencie znajdzie się wykaz najważniejszych.



MATKA. Rzeźba K. DUNIKOWSKIEGO.



„FRANCZESKI Z RIMINI,“ TRAGEDYI GABRIELA D'ANNUNZIO, FRAGMENTY. WYBÓR I PRZEKŁAD JANA KASPROWICZA.

AKT III.

Pierwszy dzień marca, dzień wiosny. Franczeska, otoczona towarzyszkami, Garsendą, Biankofiorą, Adonellą, Aldą i Altikiarą, czyta opowieść o Lancelocie z Jeziora. Dusza jej pełna niepokoju i tęsknoty. Uciekł ulubiony jej sokól, sny też miewa złowróżbne. Lęka się jednookiego Malatestina. Przekleństwo niech spadnie na niewolnicę Smaragdi, która jej pierwsza przywiodła Paola. Lecz nie, nie! — Smaragdi zgotowała jej szczęście. Ale to szczęście nie koi, przeciwnie, szarpie jej duszę. Gdybyż to była przy niej niewinna, gołębia siostra Samaritana! Lecz ta pozostała z rodzicami w Rawennie! Pierwszy dzień wiosny! Radować się trzeba i radość sprawić towarzyszkom. Garsenda wprowadza kupca z drogocennemi materyami. Franczeska hojnie obdarowuje towarzyszki. Kupiec to florencki — może ma wieści o Paolu. I owszem:

FRANCZESKA.

A w w jaki sposób przybyłeś, mój Dżiotto,
tu do Rimini?

KUPIEC.

Wielkomożna Pani!
Pełne jest przygód życie

każdego kupca. Trzeba
korzystać z wszelkiej chwili.
I mnie szczęśliwie tak się wydarzyło,
iż mogłem bezpiecznie odbyć
tę moją podróż w świcie
pana Paola. Pewnieć
nasze koniska tak dalekiej drogi
nigdy w tak szybkim nie odbyły czasie.
Z panem Paolem rzadko się spoczywa. —
Dzień jazdy wielce jest długi — o, długi...

FRANCZESKA zdaje się spokojnie przeglądać materye, ale w jej oczach mimowolny zjawia się uśmiech. Garsenda w klęczącej postawie najpiękniejsze wybiera suknie.

FRANCZESKA.

Takeście szybko jechali?

KUPIEC.

A jakże;
mogę powiedzieć — całkiem bez spoczynku,
wolno puściwszy uździenice. Rzeki
przebywaliśmy w bród, nieczekający,
aże opadnie woda. Pan Paolo
tak się zaś śpieszył,
tak ostrogami spinał
swego rumaka, że zawsze przed nami
był całą milę. Zda mi się, że ważne
ma tutaj sprawy. Wziął od miasta urlop
i niby wrócić ma za dwa miesiące
albo też mało co więcej
od chwili, gdy objął swój urząd.
Mogę powiedzieć — całe miasto w wielkim
zostawił bolu, bo juźcić w Florencyi
żaden godniejszy rycerz
nie bywał, mówię, naczelnikiem ludu.

FRANCZESKA.

Wezmę ten brokat.

KUPIEC.

Tak, wasza wielmożność.

A Bernardino della Porta z Parmy,
wybrany w jego miejsce,
nie godzien ani włoska
z pana Paola głowy.

FRANCZESKA.

Wezmę również
i ten aksamit.

KUPIEC.

A tę kitajkę, przetykaną złotem?

FRANCZESKA.

I owszem... owszem... Wielce mi do gustu...
A czy to prawda, że wy florentczycy
wciąż świątkujecie, że u was dzień za dniem
uroczystości, biesiady i tańce?

KUPIEC,

Prawda, madonno, wesoła to ziemia!
pełna uciechy,
ta ziemia florencka —
wszech kwiatem kwiatów jest nasza Florencya!

FRANCZESKA.

Wezmę tę srebrem przetykaną taftę...
A pan naczelnik rad bywał widziany
śród towarzystwa
pań i rycerzy?

KUPIEC,

Owszem, towarzystwa
wszystkie się ubiegały,
by go zapraszać do siebie,
iże jest wielce dworny i wymowny;
lecz, o ile mam wieści,
lubi samotność, był też nieco dumny,
i widywano go rzadko
u biesiadnego stołu...

Wiadomości te podniecają Franczeskę — wdzięczna kupcowi, najdroższe nabywa materye i wręcza je towarzyszkom w darze. Nagle zrywa się, jakgdyby dusza jej uleciała w dal. Wychyla się za okno ku jaśniejącemu morzu i patrzy, ręką przesłoniwszy oczy:

„Silne jest to słońce
marcowe, mocne i szalone!
Łódź jakaś płynie z purpurowym żaglem —
stada jaskółek powracają do nas...“

Słychać wesołe narzędzi muzycznych preludye — do komnaty wpadają towarzyszki z grajkami, z Dżianem Figo, astrologiem i lekarzem. Ale na melancholię Franczeski niema leku ani u mnicha Almodora, ani u astrologa; Dżian Figo, trefniś i grajek, wywołuje uśmiech na usta Franczeski:

„Madonna się zaśmiała!“ — woła BIANKOFIORE —

„Dżian Figo sprawił, że uśmiech zawitał
u naszej Pani... Idź, lekarzu miły,
do swego domu — idź razem z łaciną
i z swemi leki. Dziś pierwszego marca —
pieśń pragnie tańca, taniec pragnie pieśni —
Hej! Simonetto, zagraj!“ — —

I oto grajkowie na trybunie zaczynają od przygrywki. Zebrani cofają się wstecz, aby miejsce zrobić dla tańca. Adonella zdejmuje wieńce narcyzowe z złocistego pręta i rozdziela je pomiędzy towarzyszki, które się w nie stroją. Dla siebie zatrzymuje wieniec mający jako szczególną oznakę dwa skrzydła jaskólcze. Alda wyjmuje z gniazdka cztery pomalowane jaskółki, z drzewa, umieszczone na krótkich trzonkach, i daje każdej z towarzyszek, które w pozycyi tanecznej podnoszą je lewą ręką do góry. Tylko Adonella, mająca wieniec z jaskólczemi skrzydły, otrzymuje piszczałkę, naśladującą świegot jaskółek na wyraju. A podczas, gdy tamte tańczą i śpiewają, ona, w pewnych odstępach czasu, udaje, do rytmu, świegot, zwiastujący wiosnę.

ALDA.

W tym dniu pierwszego marca,
jaskółki, czeladzi boża,
powracające z za morza,
radosnej,
promiennej wiosny
najwcześniejsze gońce,
rozkosz i wonie
niesiecie i słońce!
W sukience czarnej i białej
znowuście zawitały
w naszem tanecznem gronie!
O czasie ty wspaniały,
o ty godzino wiosny!

ALTIKIARA.

Przyszedł marzec koić rany,
luty już pierzchnął srogi!
Rzuciliśmy płaszcz futrzany,
wdziewamy jedwab drogi.
Na kwietnie biegniemy rozłogi,
gdzie rzeka się rozlewa,
gdzie się ku niej chylą drzewa,
śpiewające —
idziem bawić się na łące
z kochankami,
tam, gdzie stropy
lśnią niebieskie ponad nami,
tam, gdzie zioła
woń dokoła
leją słodszą, bo je stopy
nagiemi depce wesoła,
rozmiłowana wiosna.

GARSENDA.

Patrzajcie na postać ziemi —
jak jest zmieniona, jak hoża.
By perła, blaski jasnemi
lśni się oblicze morza,
skowronek płynie w przestworza,
hen! w najgórniejsze niebiosy!
Brzmią już po gajach kosy
i dzika dłoń wichury,
w swej mocy ponurej
zawzięta,
rozrzuca gniazdka im świeże...
Ptaszęta!
Jaskółki! Wasz świegot szczęśliwy
jest jako dźwięk cięciwy,
a wasz ogonek, jak pierze
łuku — o dziwy! —
co trafia nas z ręki wiosny!

BIANKOFIORE.

O ty gromadko wesoła!
Wraz z nami tańczyć dziś macie!
Pociechy naszego koła,
w białej i czarnej szacie!
W tej naszej strojnej komnacie
niech rozśpiewaną mocą
rozbrzmiewa dniem i nocą
wieść o Izoldzie, tym kwiecie
ziemi islandzkiej. Bez troski,
rozradowane, w tych wiankach zwijecie
potem gniazdeczko, bo zasię
ta pani w rajskiej krasie,
ten cudny obraz boski,

to nie Franczeska, zda się,
to — — —

Tanecznice zwracają się nagłym ruchem ku Franczescе, w jednym szeregu wyciągają ku niej dłonie z jaskółkami i, bez robienia przystanku, wpadają w ostatni wyraz Biankofiory:

WSZYSTKIE RAZEM.

Wiosna!

Przy słowach „Niech w naszej strojnej komnacie“ — zjawia się we drzwiach Niewolnica. Podczas gdy grajkowie ostatnie wydobywają dźwięki, ona zbliża się cicho do swej pani i szepce jej coś do ucha, co ją odrazu wprawia w niepokój.

FRANCZESKA gwałtownie.

Biankofiore, Altikiara, Alda, Adonella,
Garsenda! Wielce wdzięczna
za ten wasz piękny taniec,
daję wam nowe suknie —
oto je macie! bierzcie!

Nachyla się nad rozrzuconemi materyami i rozdziela je pomiędzy otoczenie.

Tobie! tobie! tobie!

Grajek skrada się również ku niej.

I tobie również! Bierz to,
mój Dżian Figo, i naucz się milczeć.
A to, Garsendo, może być dla grajków —
niech sobie świeże uszyją kapoty
w prążki czerwone i żółte.
Przynieś, kupcze,
dwie jeszcze piękne sztuki — mistrz Izaak
weźmie to sobie i mistrz Almodoro...
A teraz idźcie,
poprzez dziedziniec, śpiewający wespół
pieśń o jaskółkach. Potem wrócisz, kupcze.

Garsenda cię zawoła.
Możesz zostawić towar
Aż do wieczora bawcie się w dziedzińcu.
Ty, Adonella, prowadź ich! Żegnajcie!
Szczęśliwej wiosny wam życzę!

Muzykanci zstępują z estrady i grając wychodzą. Dżian Figo w podskokach za nimi. Reszta, ukłoniwszy się Franczesce, wychodzi, z darowanemi materyami w ręku, w ślad za dźwiękami muzyki, śród szeptów i śmiechu. Niewolnica pozostała i składa porozrzucane materye. Franczeska oddaje się wzruszeniu. Wzburzona przechadza się po komnacie. Nagłym ruchem zwraca się ku alkowie i zsuwa zasłony, które dotychczas rozwarte pozwalały widzieć łożnicę. Potem staje przy pulpicie i rzuca wzrokiem na otwartą księgę; odwróciwszy się nagle, podołkiem sukni strąca lutnię, która z dźwiękiem pada na ziemię. Wypadek ten napełnia ją przestrachem.

FRANCZESKA.

Nie! nie! Smaragdi! Idźże, idź i powiedz,
by nie przychodził.

Słychać oddalające się granie. Niewolnica rzuca swe zajęcie i zwraca się ku drzwiom.

FRANCZESKA, z ruchem, jakgdyby ją chciała zatrzymać.

Smaragdi!

Niewolnica wychodzi. Po kilku chwilach, jakaś ręka odchyla portyery. Zjawia się Paolo Malatesta; drzwi zamykają się za nim.

SCENA PIĄTA.

Oboje w pierwszej chwili spoglądają na siebie, nie mogąc znaleźć słów; rumienią się. Słychać jeszcze oddalające się granie wewnątrz pałacu. Przez okno przelewa się do komnaty blask zachodzącego słońca.

FRANCZESKA.

Witam was, panie mój szwagrze!

PAOLO.

Oto przyszedłem, posłyszawszy granie,
by was powitać z powrotem.

FRANCZESKA.

Powróciliście rychło — razem z pierwszą
jaskółką. Me towarzyszki
śpiewały piosnkę taneczną
na przywitanie marca. Był tu również
i pewien kupiec florencki, przyjechał
wraz z waszą świtą. On pierwszy mi przyniósł
wiadomość o was.

PAOLO.

Zato o was dawno
nie było wieści. Nic ja nie słyszałem
o was od chwili strasznego wieczoru,
gdyście mi dali owy puhar wina,
przy pożegnaniu, życząc mi szczęśliwej
chwili powrotu.

FRANCZESKA.

Nie pomnę już tego.
Dużom się, panie, modliła.

PAOLO.

Nie pamiętacie?

FRANCZESKA.

Dużo-m się, dużo-m modliła.

PAOLO.

Jam dużo cierpiał.
Jeżeli prawda, że ci, którzy cierpią,

przezwyciężają,
to jam powinien przezwyciężyć.

FRANCZESKA.

Co?

PAOLO.

Moją dolę, Franczesko.

FRANCZESKA.

I wróciliście?

PAOLO.

Chcę żyć.

FRANCZESKA.

Już nie umrzeć?

PAOLO.

Ach, pamiętacie, jak wzywałem śmierci,
co mnie nie chciała? Może to przynajmniej
jeszcze baczycie?

FRANCZESKA zwraca się ku oknu, jakgdyby chciała niepowstrzymanej ujść namiętności.

FRANCZESKA.

Paolo!

Dajcie mi spokój!
Słodko jest żyć w zapomnieniu —
przynajmniej chwilę, zdaleka od burzy,
która nas łamie.
Nie przywołujcie, proszę,
cienia tych czasów w tę światłość wiosenną,
która mi gasi pragnienie,
niby ów napój rzeźwiący,

kiedym przez cudny przechodziła strumień.
Teraz ja myśleć wolę,
że moja dusza uciekła
od tych wybrzeży, ażeby się schronić
tu, gdzie muzyka jest cichą nadzieją.
Wolę zapomnieć o złem,
któregom wczoraj doznała,
którego doznam jutro,
ach, pragnę, pragnę, by całe me życie
z jego wszystkiemi żyłami,
z dniami wszystkiemi
i ze wszystkiemi odległemi sprawy
znalazło spokój choć na jedną chwilę,
by strumień
w głębinach morza, które się do mnie uśmiecha,
jeśli nie łudzi mnie łza, co w mych oczach
drży, a zaś upaść nie zdoła.
Dziś już spokojne to morze,
wczoraj tak dziko wzburzone,
dzisiaj błyszczące jak perła.
Dajcie mi spokój.

PAOLO.

Słyszę melodyę wiosny —
pieśń, spływającą z waszych ust na świat ten,
którą jadący słyszałem
w poświstach wiatru,
przy każdym skręcie, przy każdym zawrocie,
na szczytach wzgórz,
i na okrajach lasów,
i pośród szumu potoków,
gdy moja żądza,
skulona w siodle,
zdała się palić grzywę

rozszalałego rumaka;
gdy moja dusza,
niby wstrząsana pochodnia,
żyła-li szałem
i kiedy wszystkie jej myśli,
z wyjątkiem jednej, tak! z wyjątkiem jednej,
gasły poza mną, jak popiół.

FRANCZESKA.

Popiołem
są wasze słowa, Paolo, i niema
w nich miłosierdzia, i dotychczas w dzikiem
szaleństwie wichru żyje wasza dusza
i wlecze za sobą
me przerażenie.
Błagam was, błagam,
dajcie mi spokój,
o ty mój piękny, słodki przyjacielu,
przynajmniej jedną tę chwilę,
bym mogła w sobie dawną uśpić winę,
ach! i zapomnieć o wszystkiem,
i patrzeć w wasze oblicze,
jak ongi, za pierwszym razem,
w oblicze nieznajomego.
Albowiem jednej tylko rosy pragną
moje wyschnięte powieki —
mieć znów przed sobą cudowne zjawisko
tego pierwszego spojrzenia i znowu
czuć, że im łaska powraca,
jak nieraz we śnie czuły, że się zbliża
jutrznia poranna —
czuć, że się dla nich kryje ukojenie
w cieniu świeżego wieńca — — —

PAOLO.

W tym fiołkowym wieńcu
widziałem was wczoraj na łące,
gdzie, wyprzedziwszy mą świtę,
spocząłem, żądny samotni.
Słyszałem tylko dzwonienie
rzędu mojego wierzchowca,
który się pasł na murawie; widziałem
poprzez zagajnik wieżyce Meldoli.
Wami rozbrzmiewał
w blaskach poranku
wszystek świat wokrąg. Widziałem was w fiołkach,
i z wargi waszej popłynęły słowa:
„wielce-ć przebaczam, boś wielce ukochał.“

FRANCZESKA.

Tak, powiedziane były te wyrazy,
i wielka spłynęła z nich radość...

Wzrok Paola błądzi po komnacie.

FRANCZESKA.

Nie rozpatrujcie się w rzeczach umarłych,
co się wydają radością,
a są-li wstydem i bolem.
Nie zwarzy ich jesień
i nie odświeży ich wiosna!
Patrzcie na morze, na morze,
które wraz z Bogiem dawało świadectwo
słowom wielkim, jaśniejącym
po za obrębem bitwy,
po za granicą dzikiego rozkrzyku,
a jeden z żagli płynął,
sam z swoją płynął dolą —
czyście widzieli? I wówczas

straszną przeszliśmy próbę.
Siądźcie przy oknie;
a nie uzbrojon, by mordować ludzi,
lecz bez srogości weźcie dziś, Paolo,
weźcie tę wiązkę
wasiłkowego ziela.

Wyrywa z wazonu krzew wasilkowego ziela i daje Paolowi, który, zbliżając się do niej, potknął się o zawiasy drzwi zapadnych.

FRANCZESKA.

Potknęliście się o pierścieniec wrótni,
które do dolnej prowadzą komnaty.

PAOLO nachyla się nieco, ażeby zobaczyć, o co się potknął.

FRANCZESKA podając mu ziele.

Weźcie to ziele... Powąchajcie... Pachnie.
Zasadziła je Smaragdi w tej wazie
k'pamięci swego ojczystego Cypru,
a podlewając je, śpiewa:
„Tobie ja ścielę
to wasiłkowe krzewie, —
śpij sobie na niem,
zrywaj, gdy zechcesz,
chłoń jego wonie,
ach, i pamiętaj o mnie!"
Ponoć we Florencyi każda z pań ma w oknie
kwiat wasiłkowy: czy to prawda? Może
opowiecie mi coś o waszem życiu?
Usiądźcie tutaj. Mówcie mi o sobie.
Jakeście żyli?

PAOLO.

Dlaczego
mam znów odświeżać w sercu

nędzę mojego życia?
Bolem mi było i smutkiem
to, co dla innych bywało rozkoszą.
Bywałem w domu słynnego śpiewaka —
zwie się Kazella —
gdzie się gromadzą znakomici męże —
między innymi Gwido Kawalkanti,
jeden z najpierwszych rycerzy, lubiący
przemawiać w rymach, i messer Brunetto,
uczony mówca,
który powrócił z Paryża,
i pewien młodzian
z Alighierich, nazywa się Dante.
Szczególnie drogim stał mi się ten młodzian,
bo pełen był myśli
i o miłości i bolu, i cały płonął,
słyszący śpiewanie.
I nieraz
do mego serca, co zawsze zamknięte,
niespodziewana płynęła zeń rozkosz,
albowiem śpiew przeuroczy
sprawiał, że nieraz cicho się wypłakał,
i ja, to widząc, płakałem z nim razem.

Oczy Franczeski napełniają się łzami, głos jej drży.

FRANCZESKA.

Co? płakaliście?

PAOLO.

Franczesko! Franczesko!

FRANCZESKA.

Wyście płakali? Paolo, niech będzie
błogosławiony ten, co was nauczył

płakać! Paolo, o spokój dla niego
modlić się będę.
Znowu was widzę, słodki przyjacielu,
takim, jak ongi!
Łaska spłynęła na moje powieki.

Jakby przemieniona z wielkiej radości, łagodnym ruchem zdejmuje wianek z głowy i kładzie go na znajdującą się obok otwartą księgę.

PAOLO.

Dlaczego wianek zdejmujecie z głowy?

FRANCZESKA.

Bom nie dostała go od was, jak wyście
dostali ongi ode mnie
różę z nad sarkofagu.
Uczułam,
że już fiołki nieświeże.

PAOLO wstaje, zbliża się do pulpitu i dotyka się fiołków.

PAOLO.

Prawda. Pomnicie? Owego wieczora,
w krwi skąpanego i ogniu, chcieliście
mieć w podarunku ode mnie
jaki hełm piękny. Dałem wam z wybornej
wykuty stali.
A stal i złoto nie więdną, jak kwiaty.
Lecz wyście hełm ten wypuścili z ręki.
Czy pamiętacie?
Ja go podniosłem. I od tego czasu
we czci go miałem,
niby królewską koronę.
Gdy wkładam go sobie na skronie,
czuję, jak we mnie wyrasta potęga

i jak w mej głowie żadna się nie rodzi
myśl, żeby z ognia nie była.

Nachyla się nad księgą.

Jakież to słowa spotkały me oczy!
„I większe na was spływały bogactwa,
niżeli świata całego dziedzictwo."
Cóż to za książka?

FRANCZESKA.

Przedawna opowieść
o Lancelocie z Jeziora.

Franczeska wstaje i zbliża się do pulpitu.

PAOLO.

Jużeście
ją przeczytali?

FRANCZESKA.

Nie, doszłam w czytaniu
do tego miejsca.

PAOLO.

Tu, do tego znaku?

Czyta:

„Nie chce niczego ode mnie"... Czytajcie
dalej.

FRANCZESKA.

Spojrzyjcie na lśniące to morze!

PAOLO.

Jedną, Franczesko, przeczytajcie stronę.

FRANCZESKA.

Patrzcie, to stado jaskółek,
cień rzucające na to morze lśniące!

PAOLO.

Czytajmy, Franczesko.

FRANCZESKA.

I jak się żagiel ten pali,
jakgdyby w ogniu!

PAOLO czyta:

„O zapewne, pani! —
rzekł Galeotto — on się nie ośmieli
i, bojaźliwym będąc, żadnej od was
nie będzie żądał miłosnej przysługi,
ale ja błagam za niego, a choćbym
nawet nie błagał, to wybyście sama
z własnej musieli pofolgować woli,
gdyż bogatszego nie znajdziecie skarbu...
A ona rzekła — — —“

PAOLO bierze Franczeskę za rękę i lekko ją ciągnie ku sobie.

Teraz wy czytajcie,
co mu odrzekła. Jesteście Ginewrą.
Czujecie, jak pachną
fiołki,
rzucone przez was? Czytajcie! czytajcie!

Skronie ich zbliżają się ku sobie, nachylili się nad książką.

FRANCZESKA czyta:

„A ona rzekła: Wiem-ci o tem dobrze
i tak uczynię, jak mi rozkażecie.
I Galeotto odpowiedział: Dzięki!

Pragnę was prosić, abyście go swoją
obdarowali miłością.“

Przerywa.

PAOLO.

Czytajcie dalej.

FRANCZESKA.

Nie, już słów nie widzę.

PAOLO.

Czytajcie dalej... „Zapewne...

FRANCZESKA.

„Zapewne,
przyobiecuję wam i to — odpowie —
tylko niech do mnie należy już cały,
tak jak ja cała należę do niego.
I niechaj będą wymazane wszystkie,
wszystkie przewiny“... Dosyć już, Paolo.

PAOLO czyta głosem złamanym i drżącym:

„Dzięki wam, pani, dzięki — odpowiedział. —
Pocałujcie go teraz w moich oczach,
na znak poczęcia prawdziwej miłości“...
Teraz, co rzekła ona — tak, co ona
odrzekła teraz — o tutaj, w tem miejscu.

Blade ich twarze tak się nachyliły nad książką, że ich policzki prawie dotykają się wzajemnie.

FRANCZESKA czyta:

— — „Odrzekła: przecz ja mam się dawać prosić,
gdy pragnę tego, jak i wy — —“

PAOLO czyta dalej głosem stłumionym:

„I zasię
odeszli na bok, i ona-ć królowa
ujrzy rycerza, iże nic go więcej
już nie rozpala, prócz żądzy całunku —
I wraz ująwszy go za brodę, długi
na uściech jego złożyła całunek.“

PAOLO czyni tak samo z Franczeską i całuje ją. A gdy się usta ich rozeszły, Franczeska chwieje się na nogach i pada na łoże.

PAOLO.

Franczesko!

FRANCZESKA gasnącym głosem:

Ach, nie, Paolo!

Zasłona.

AKT IV.

Krwawy jednooki Malatestino wyznaje Franczescе swą miłość — przy wtórze jęków, dobywających się z pod kamiennej posadzki, wielkiej ośmiobocznej sali. To głos więzionego Montanja Parczitady.

Malatestino, odtrącon przez Franczeskę, grozi zemstą — czuć, że, leżąc chory pod opieką bratowej, miał czas i sposobność przekonać się o występnym stosunku jej do Paola. Na razie, aby dać upust wzburzeniu, dzikie chłopię, które zamordowało ulubionego sokola, schodzi do piwnicy i zabija Parczitadę —:

„*Chcę*“ — mówi do Franczeski — „*byście mieli nockę spokojną i sen przegłęboki.*“

Podczas gdy Malatestino sprawia się ze swym jeńcem, wchodzi Dżianczotto (Jan Kulawiec), mąż Franczeski, cały w zbroi, gotowy do drogi. Wybiera się do Pezaro, obejmować urząd podesty.

„*Ma się ku wieczorowi*“ — mówi doń Franczeska — „*trzeba się wam posilić*“ — — —

Dżianczotto zamyślony idzie za Franczeską ku stolowi, zastawionemu jedzeniem. Zdejmuje szyszak, odpina kołnierz stalowy i po-

daje Franczesce, która to wszystko z niespodziewaną składa zalotnością na jednej z ławek.

FRANCZESKA.

Będziecie mieli w drodze chłód przyjemny.
Przemiłą będzie noc wrześniowa.
Księżyc się zjawi około północy.
Kiedy będziecie w Pezaro,
panie podesto?

DŻIANCZIOTTO.

Rano koło trzeciej.
Będę się musiał zatrzymać na popas
u mego ojca w Gradarze.

Odpina sobie pas, na którym wisi miecz, i podaje go żonie.

FRANCZESKA.

A wasza miłość jak długo zabawi
w drodze?

Z lochów dobywa się straszliwy jęk Montanii. Franczeska drży i z rąk wypuszcza miecz, który wypada z pochwy.

DŻIANCZIOTTO.

Stało się! Nie drżyj, moja żono!
Będzie już cisza. Oby Bóg tak wszystkie
pościnał głowy naszych nieprzyjaciół!
Wicher już teraz przestanie rozsiewać
wraże nasienie pomiędzy
głazy rimińskie. I w całej Romanii
oby ich zniszczył Bóg w tym roku krwawym,
jeżeli taka jego wola —
a wówczas pierwsze święto wielkanocy
będą gwelfowie z Kalboli święcili
krwią gibelińską
Aldobrandynów degli Argogliosi.

Nachyla się, aby podnieść miecz, co wypadł z pochwy.

Zmarł papież Marcin i król Karol przedni
poszedł do Raju. Źle dla nas!
A zasię owy Pietro di Stefano,
w którym Honoryusz dał nam wielkorządcę,
nie jest przyjaciel nasz,
ni Polentanów, ni waszego ojca,
Franczesko! Rękę w pogotowiu
trzeba na mieczu trzymać wyostrzonym.

Czyni ruch nagim mieczem, który trzyma w ręku, przygląda się rękojeści i potem chowa go do pochew.

Ten mi się nie ugnie!

Chowa miecz do pochew.

FRANCZESKA.

Daj mi go, panie!
Już go raz drugi nie upuszczę.
A teraz siądźcie, posilcie się w drogę.

Dżianczíotto daje miecz Franczescc i siada na ławie przy stole.

DŻIANCZIOTTO.

Oto, moja żono,
ciągle o wojnie wam prawię, a dotąd
nigdy wam kwiatka nie dałem. Ach! twardzi,
twardzi jesteśmy. Do rąk waszych białych
dałem wam szyszak i miecz.
Malatestino zdobył się przynajmniej
na sokolika, Paolo
da wam zapewne kwiaty.
Jako naczelnik florenckiego ludu
w wszelkiej się wprawił dworności,
tylko że stracił nad brzegami Arna
swoją tężyznę, woli wypoczynek
niżeli trudy. Czas trawi codziennie
z grajkami swymi.

Łamie chleb, nalewa sobie wina, podczas gdy Franczeska siada naprzeciw niego, przy stole, brodę oparłszy na głowni miecza.

Lecz i wy, Franczesko,
wielce lubicie muzykę w komnacie.
Czyż towarzyszki wasze nigdy się nie znużą
ciągłem śpiewaniem: głos ich
powinien był zagłuszyć
jęk Parczitady. Wrychle
zmienicie twierdzę Malatestów
w gaj pełny słowików.

Je i pije.

FRANCZESKA.

Ja i moja siostra
Samarytana wyrosłyśmy w domu,
w naszej Rawennie, śród śpiewu.
Gardło ze złota miała nasza matka.
Już od najpierwszej młodości
krzepiła nam dusze muzyką,
jak woda zdroju krzepi trawy.
I matka nasza mawiała:
„Słodkie śpiewanie broni nas od licha.“

DŻIANCZIOTTO.

Zaś moja matka mawiała:
„A wiesz ty, jaka niewiasta najlepsza?
Ta, która przędząc myśli o kądzieli,
ta, która przędzie równo i bez węzłów,
ta, która przędząc, przędzy z rąk nie puści,
co przędzę równo owija na motek,
co wie, czy kądziel próżna jest czy pełna.“

FRANCZESKA.

Czemuście sobie nie wybrali, panie,
takiej niewiasty na żonę?

Słychać pukanie do drzwi żelaznych. Franczeska zrywa się na równe nogi, rzuca miecz na stół i chce uciekać.

FRANCZESKA.

Wraca Malatestino.
Nie chcę go widzieć! nie chcę!

GŁOS MALATESTINA.

Któż to mi zawarł dźwierze?
Wyście, bratowo, zamknęli?

Uderza nogą w drzwi.

DŹIANCZIOTTO.

Czekaj, poczekaj, otworzę!

GŁOS MALATESTINA.

Ach! Dżiowanni! otwieraj!
Dojrzały owoc niosę ci na drogę.
Figę wrześniową.
Bardzo jest ważka!

Kulawiec idzie otwierać. Franczeska przez kilka chwil podąża oczyma za jego kulejącym krokiem, potem wraca ku drzwiom, prowadzącym do jej komnaty. Exit.

GŁOS MALATESTINA.

Śpiesz się!

DŹIANCZIOTTO.

Już idę!

SCENA TRZECIA.

Dżianeziotto otwiera drzwi; na wązkim progu zjawia się Malatestino, trzymający w lewej ręce zapaloną pochodnię, w prawej zaś na pętlicy głowę Montanii, zawiniętą w chustę.

MALATESTINO podaje bratu pochodnię.

Masz to, braciszku, zagaś!

DŹIANCZIOTTO przydeptuje pochodnię i gasi.

MALATESTINO.

Była z tobą
twa żona?

DŻIANCZIOTTO *szorstko.*

Była.
Czego chcesz od niej?

MALATESTINO.

A zatem wiadomo-ć,
jaki ci owoc przynoszę.

DŻIANCZIOTTO.

A ojca
miałeś odwagę nie słuchać?

MALATESTINO.

Patrz ino,
jaka jest ciężka! Spojrzyj!

Podaje pętlicę Kulawcowi, który ją bierze i waży w ręku, a potem puszcza na ziemię. Głowa z głuchym pada łoskotem.

Tobie ją daję. Głowa
Montanii dei Parcitadi. Bierz ją,
przytrocz do siodła,
a przejeżdżając przez Gradarę, daj ją
wielkomożnemu ojcu i tak powiedz:
„Malatestino posyła ten zastaw,
byście nie mieli wątpienia
o jego bystrej czujności.
To was upewni, że więzień nie zemknie.
A za to
skarogniadego dacie mu wierzchowca,
tego z gwiazdkami na trzech nogach — dawno
obiecywaliście mu ten podarunek —

przytem i siodło wysadzane złotem.“
Co za gorąco!

Pot ociera z czoła. Dżianczziotto siada ponownie do stołu.

Mówię ci, gdy ujrzał
płomień pochodni, jął sapać, jak rumak,
kiedy się stracha. Daj mi pić.

Jednym haustem wypija pełną czarę. Dżianczziotto siedzi ponury, żuje w milczeniu, nie mogąc połknąć jadła, jak byk przeżuwający. Morderca zajmuje miejsce, na którem siedziała Franczeska.
Skrwawiony tłumok bezwładnie leży na ziemi. Przez wielkie okno widać słońce, zachodzące za Apeninami; w blaskach jego złocą się szczyty i obłoki.

Zły jesteś?
Czy może chciałeś, abyśmy czekali
jaki rok jeszcze na okup
Perdeczittady? Mówięć, że daremnie
byłoby czekać; a to jest tak pewnem,
jak to, że dukat jest żółty.
Od dnia dzisiejszego
Malatestowie nie będą litości
mieli nad nikim,
dopóki starczy im kłów!
Wszakżeć to niema jeszcze dwóch miesięcy,
kiedy w Czezenie ojciec nasz — rzecz dziwna —
nie ściągnął skóry z wrażych szpon Konrada
da Montefeltro, a i Filipuczzio,
bękart, dotychczas jeszcze żyw!
Niech będzie pochwalon
brat Alberigo,
gdyż umie jednym zamachem
ścinać i pień i latorośl.
Czas już, by każdy gibelin
był takim dla nas owocem,

jak oto dzisiaj kawaler Godente.

Bierze miecz, leżący na stole, i dłonią uderza o pochew.

Ten-ci jest owoc na każdą biesiadę
spokoju i zgody.
Nie gniewaj się na mnie,
mój Dżiowanni! Wierny-ć jestem,
ty się nazywasz Jan Kulawiec,
a ja się zowię Jednooki.

Milczy chwilę, potem złośliwie:

Za to Paolo zwie sie Piękny.

Dżiancziotto podnosi głowę i wzrok zatapia w oblicze młodzieńca. Wśród ciszy słychać brzęk ostróg, któremi Dżiancziotto uderza w posadzkę.

DŻIANCZIOTTO.

I ty się, widzę, stałeś gadatliwy.

Malatestino chce sobie jeszcze nalać wina. Brat trzyma go silnie za puls.

DŻIANCZIOTTO.

Nie pij już więcej! Odpowiadaj, cóżeś
zrobił Franczesce? powiedz,
czemś ją obraził!

MALATESTINO.

Ja? Czy to ona ci mówiła?

DŻIANCZIOTTO.

Coś mi się mienisz na twarzy.

MALATESTINO.

Co ci mówiła?

DŻIANCZIOTTO.

Odpowiadaj!

MALATESTINO z udanym uśmiechem.

Nie mogę odpowiedzieć.

DŻIANCZIOTTO.

Cóż ty znów knujesz przeciw niej? Odpowiedz!

MALATESTINO, nagle ożywiony, z błyskiem w klującej źrenicy:

Onać mówiła i, mówiąc, nie miała
zmienionej twarzy?

DŻIANCZIOTTO.

Strzeż się, Malatestino!
Popatrz mi prosto w oczy!
Jam-ci Kulawy, ale zawsze prosto
idę przed siebie. Ty zasię
krzywemi chodzisz drogami
i usiłujesz tłumić odgłos kroków.
Strzeż się, bo cię pochwycę
i nie wywiniesz mi się!
A teraz to jedno-ć mówię:
„biada, kto chciałby dotknąć moją żonę!"
Wiesz o tem dobrze, boś sam tego dożył,
że więcej upływa czasu
pomiędzy spięciem ostrogą
berberyjskiego ogiera
a jego daniem dęba,
niż między słowem mem a moim czynem.
Rozważ to sobie!

MALATESTINO głosem przyciszonym i ze spuszczoną powieką:

A jeśli z gniewem ujrzy brat, że inny
dotyka żony jego brata, jeśli
uczyni wszystko, by zapobiedz hańbie,
mów, czy jest winien?

I jeśli potem oskarżą go jeszcze,
że złe zamiary knuje przeciw żonie,
mów, żali słuszne jest to oskarżenie?

DŻIANCZIOTTO zrywa się przeraźliwie i ściska pięści, jakgdyby chciał ubić młodzieńca. Wnet się jednak powstrzymuje i opuszcza ręce.

DŻIANCZIOTTO.

Malatestino! na katusze piekieł!
Jeżeli nie chcesz, ażebym to drugie
wyrwał ci oko, przez które twa chytra,
podstępna dusza jeszcze świat obraża,
to odpowiadaj! mów, coś widział?

MALATESTINO wstaje i cichym, kocim krokiem podchodzi ku drzwiom w pobliżu stołu. Stoi przez kilka chwil, nadsłuchując, potem nagłym ruchem otwiera drzwi i patrzy. Nie widać nikogo. Wraca i siada znów naprzeciw brata.

DŻIANCZIOTTO.

Gadaj!

MALATESTINO.

Tylko bez groźby! Nie boję się ciebie!
Wiedz o tem, bracie:
iżem nie nosił przyłbicy,
dziś jestem ślepy;
ty wszakże w domu swym nosisz
przyłbicę z nausznicami,
zakrywającą i oczy i brodę,
i nic nie widzisz, nic! w twój mózg z żelaza
żadne nie wpije się ostrze podejrzeń.

DŻIANCZIOTTO.

Bez paplaniny! do rzeczy! do rzeczy!
Gadaj, coś widział! Wymień mi nazwisko!

MALATESTINO.

Żali ci nie jest dziwnem,
że ktoś, co w grudniu wyjechał, odrazu
niespodziewanie porzuca swój urząd
i wraca do nas już w lutym?

Słychać trzeszczenie srebrnego puhara, który Dżiancziotto łamie w ręku.

DŻIANCZIOTTO.

Paolo!

Nie! nie! to nie on!

Zrywa się na równe nogi i oddala od stołu; chodzi po komnacie, ponury, ze wzrokiem zamglonym. Przypadkiem potrąca chustę z głową Montanii. Zbliża się do wielkiego okna, skąpanego w odblaskach posępnego zachodu. Siada na krześle i chwyta się za głowę, jakby chciał myśli w jedno skupić ognisko. Malatestino bawi się tymczasem mieczem, nawpół wyciągnąwszy go z pochwy. Potem wsuwa go znowu napowrót.

DŻIANCZIOTTO.

Chodź, Malatestino!

Młodzieniec zbliża się lekko i szybko bez hałasu, jakby miał nogi z filcu. Dżiancziotto trzyma go obu rękoma, wciska między swe zbrojne kolana i mówi z nim oddech na oddech.

DŻIANCZIOTTO.

Czy jesteś pewny? widziałeś?

MALATESTINO.

Tak!

DŻIANCZIOTTO.

Co? i kiedy?

MALATESTINO.

Wchodził kilkakrotnie.

DŻIANCZIOTTO.

Wchodził — gdzie wchodził?

MALATESTINO.

Wchodził do komnaty.

DŻIANCZIOTTO.

Co więcej? Nic to! Wszak-ci to bratowa.
Wchodzić ma prawo. Zresztą są z nią razem
jej towarzyszki. Widziałeś,
jak przyprowadzał grajków...

MALATESTINO.

W nocy... Daj spokój! Nie ściskaj! Na Boga!
Żelazne masz golenie!
Puść mnie!

Zwinnie uwalnia się od niego.

DŻIANCZIOTTO.

Czym dobrze słyszał?
Mówiłeś — — powtórz!

MALATESTINO.

W nocy!
Tak! tak! widziałem... w nocy!

DŻIANCZIOTTO.

Żebra ci zgruchocę,
jeżeli kłamiesz!

MALATESTINO.

Przychodził w nocy, powracał o świcie!
Tyś wtedy ruszył był na Urbinatów.

DŻIANCZIOTTO.

Na proch cię zetrę, gdy kłamiesz!

MALATESTINO.

Mam ci pokazać naocznie?

DŻIANCZIOTTO.

Pokaż, jeżeli nie chcesz
paść w mych śmiertelnych uściskach.

MALATESTINO.

Czy chcesz tej nocy?

DŻIANCZIOTTO.

Chcę!

MALATESTINO.

A będziesz umiał udawać?
Będziesz się umiał uśmiechać?
Ty się na uśmiech nie zdobędziesz.

DŻIANCZIOTTO.

Zemsta nauczy uśmiechu,
gdy szczęście nie nauczyło!

MALATESTINO.

A będziesz umiał całować
i ją i jego, nie gryząc?

DŻIANCZIOTTO.

Tak! będę umiał, bo pomyślę sobie,
że już umarli!

MALATESTINO.

W uściskach trzymać ją musisz,
rozmawiać z nimi i nie drżyć.

DŻIANCZIOTTO.

Bawisz się moją katuszą! O strzeż się,
ból ma dwa ostrza!

MALATESTINO.

Na Boga!
Puść mnie! nie ściskaj!

DŻIANCZIOTTO.

Dobrze — więc powiedz,
jakie masz plany? Prędko!

MALATESTINO.

Będziesz się musiał pożegnać
z nimi i dosiąść wierzchowca i z całą
wyjechać świtą bramą San Dżenezio
w kierunko do Pezaro.
Ja na koń siędę wraz z tobą.
Powiedz, żeś zgniewał się na mnie
za oną głowę Montanii, że musisz
pojechać ze mną do Gradary,
stawić przed ojca, aby mnie ukarał
albo przebaczył. W ten sposób
będą myśleli, że zostaną sami.
Potem, w noc późną,
pozostawimy ludzi, sami zasię
wrócimy w miasto bramą gattolańską,
nim jeszcze wzejdzie miesiąc.
Damy znak Ridziemu.
Ja się z tem sprawię, a ty najszybszego
dosiądź bieguna i weź też ze sobą
płatów sukiennych, może będzie trzeba
owinąć niemi kopyta,
bo wiesz, że nocą
drogi wydają echo
i że kamienie, mój bracie,
umieją zdradzać.

DŻIANCZIOTTO.

Zobaczę.
Pewny-li jesteś, że ich schwycę?

MALATESTINO.

Przestań,
przestań mnie ściskać! Mam też
na myśli niewolnicę —
tę z Cypru, ona to właśnie
spełnia tu służbę rajfurki.
Chytra i sprawna jest w czatach.
Widzę ją nieraz, jak węszy.
Schwycę ją w sidła i uduszę...
To moje sprawy... Ty zaś
nie myśl o niczem, dopóki
nie staniesz we drzwiach!

DŻIANCZIOTTO.

Na twą głowę! powiedz!
Czy uda mi się ich przychwycić?

MALATESTINO.

Puść mnie!
Puść mnie na Boga! Nie mnie ci tak dusić!

Przez drzwi z prawej strony słychać głos Paola.

GŁOS PAOLA.

Czyś tu Dżiowanni?

Kulawiec puszcza Malatestina i, ogromnie pobladły, staje na równe nogi.

MALATESTINO.

Uważaj! uważaj!
Tylko się nie zdradź!

Gdy Paolo otwiera drzwi, Malatestino udaje, jakgdyby był wściekły na Dżiancziotta, krzyczy:

Puścisz mnie nareszcie?

Udaje, jakgdyby go ręce bolały w pulsach.

To twoje szczęście, żeś jest pierworodny!
Inaczej... Dobrze, Paolo, żeś nadszedł!

SCENA CZWARTA.

Paolo ma na sobie długą, bogatą suknię, sięgającą poza kolana, do kostek, w biodrach ujętą pasem, wysadzanym drogiemi kamieniami, za pasem sztylet z damasceńskiej stali. Włos kędzierzawy, nieprzedzielony, spada mu w swobodnym nieładzie na czoło, osłaniając je niby obłokiem.

PAOLO.

Co się tu stało?

MALATESTINO.

Patrzaj!
Dżiowanni gniewa się na mnie,
iżem nareszcie utracił cierpliwość
i uciszyłem na wieki Montanię,
nie mogąc dłużej słuchać jego jęków
(a i Franczesce trudno było sypiać),
nie mogąc słuchać
tych jednostajnych wieści,
które mi ojciec przysyłał:
„A strzeżesz-li go dobrze?
A umiesz strzedz, jak trzeba?
Z pewnością ci ucieknie!
Ty dasz mu uciec! Z pewnością dziś jeszcze
zbiegnie z więzienia i ty go nie schwycisz.“
Obmierzło mi to! Przez Bóg żyw! Jest głowa.

PAOLO.

I sam go ściąłeś?

MALATESTINO.

Sam, i znakomicie!

PAOLO przygląda się chustce z głową, bacząc, aby się nie poplamić krwią, przeciekającą przez chustę.

MALATESTINO.

I ty się także usuwasz
z obawy, aby nie splamić
sukni? O, nie wiedziałem,
że dwie posiadam siostry
tak delikatne!

DŻIANCZIOTTO.

Przestań się przekomarzać.
Paolo! żądam, by się udał ze mną
do ojca, do Gradary,
by się usprawiedliwił,
że był mu nieposłuszny.
Co o tem myślisz?

PAOLO.

Zda mi się, dobrze będzie, jeśli z tobą
pojedzie.

MALATESTINO.

Owszem! owszem!
Lecz wezmę z sobą ten zastaw!
Przytroczę go do siodła —
siodło wytrzyma.

Bierze chustę za pętlicę.

Gniewu

ojca się wcale nie boję. Nasz rodzic
ogromnie się ucieszy,
gdy mu rozwinę chustę — to wam mówię —
i da mi na wojnę
rzymskiego skarogniadosza,
a zaś na łowy obdarzy mnie siwkiem...

DŻIANCZIOTTO.

Gotuj się w drogę, nie zwlekaj, bo wieczór
będzie za chwilę.

MALATESTINO podnosi zawiniątko i chce odejść.

PAOLO do Dżiowanniego.

Ludzi
widziałem twoich gotowych do jazdy —
czekają tylko hasła, aby siadać.

Obaj bracia podchodzą do zagłębienia okna, stają naprzeciw promieni zachodu. Siadają.

MALATESTINO, odchodząc:

O jaka ciężka! A jest bez szyszaka.
Parczitadowie zawszeć wyglądali
jak bydło na rzeź! Wielkie
rogate głowy! Paolo,
woń się rozpływa lawendowej wódki
za twoim śladem... Uważaj, uważaj,
bym cię nie splamił krwią.

Exit.

PAOLO.

Zawsze ma szpony gotowe, by drapać.
Nasi żołnierze
mawiali, że we śnie
zamyka zawsze tylko jedno oko,
a zasię drugie ma zawsze otwarte!

A ja dziś myślę, że nigdy nie sypia
i że nerw jego srogości
wiecznie naprężon.
Stworzon jest na to,
aby zdobywać władzę
i zginąć od miecza,
ten nasz kochany braciszek.
Boże go wspieraj! Ty zasię
masz oto zostać podestą Pezara!
Nasz ojciec na skałę pezarską
spogląda z swojej Gradary
jako na pewną swą zdobycz. Niedługo
da mu ją, bracie,
twoja waleczność i twa mądrość.

DŻIANCZIOTTO.

Niema
jeszcze i roku, kiedyś ty, Paolo
został w Florencyi naczelnikiem ludu,
tak ja dziś jadę po urząd podesty.
Nie długoś bawił nad Arnem. Ja za to
zabawię dłużej, bo snadź się nie godzi
odbiegać swego urzędu. Lecz żal mi
zostawić Franczeskę samą
na taki długi czas.

PAOLO.

Raz po raz możesz przyjeżdżać. Pezaro
nie tak daleko.

DZIANCZIOTTO.

Podeście
nie służy prawo wyjazdu,
póki trwa urząd, ty wiesz to, a także
nie wolno brać mu ze sobą małżonki,

więc tobie powierzam mą drogą,
kochaną żonę, tobie,
który zostajesz.

PAOLO.

Zawsze
takem ją kochał, jak siostrę.

DŻIANCZIOTTO.

Wiem to, Paolo.

PAOLO.

Bądź pewny,
że strzedz jej będę dobrze.

DŻIANCZIOTTO.

Wiem to, Paolo. Z Rawenny
tyś mi ją przywiózł dziewicą
do mego łoża, strzegleś
od wszego zła.

PAOLO.

Zarządzę,
by moja Orabile,
przybyła z Giadżiola
tu do Rimini dla jej towarzystwa.

DŻIANCZIOTTO.

A bacz-że na to, Paolo,
aby się pokochały
obie bratowe.

PAOLO.

Nieraz
Franczeska słała jej dary.

DŻIANCZIOTTO.

Idź ją zawołać Już późno.
Słońce już zaszło, a ja będę zmuszon
uczynić postój w Gradarze,
zasię o trzeciej trzeba być w Pezaro.
Sam ją zawołaj. Siedzi w swej komnacie —
zrażona srogością
Malatestina. Idź ją uspokoić,
by się nie bała, że zostanie sama.
Idź, idź, zawołaj.

Wstaje i rękę kładzie na ramieniu Paola, jakby chciał go zachęcić. Paolo zwraca się ku drzwiom. Kulawiec pozostaje i, nieruchomy, zabójczą towarzyszy źrenicą, aż do progu, krokom pięknego męża. Zaledwie Paolo znikł za drzwiami, Kulawiec podnosi rękę do góry, jak do przysięgi. Potem podchodzi do stołu i bierze połamany puhar, aby go ukryć. Odwraca się i wzrok jego pada na otwarte drzwi żelazne. Idzie, rzuca puhar w ciemnię i zamyka.

W drugich drzwiach zjawia się Franczeska przy boku szwagra. Przeprasza męża, że wyszła, wstawia się za Malatestiną, by go nie oskarżał przed ojcem za okrucieństwo.

DŻIANCZIOTTO.

Nie, lepiej będzie, jeżeli
pojedzie ze mną dzisiaj, dla waszego,
moja małżonko, spokoju. Paolo
zostanie z wami. Jemu was powierzam...

I cały już uzbrojon, przypomniawszy, jaki przed rokiem szalał bój, jak celnym strzałem z łuku położył Czinjattę rycerski Paolo, mówi do małżonki:

„... Daliście nam wówczas
Greckiego wina z Chios.
Piliśmy z jednej czary.
Napijmy się i teraz!

FRANCZESKA.

Brak jednej czary. Były dwie. Gdzie druga?

Patrzy, czy nie upadła na ziemię.

DŻIANCZIOTTO.

Jedna wystarczy — jak wówczas!

Nalewa wino do czary i podaje Franczesce.

FRANCZESKA.

Nie mogę
pić tego wina, nie jestem przywykła.

DŻIANCZIOTTO.

Haust tylko jeden, jak wówczas, a potem
dajcie szwagrowi, by i on się napił.

FRANCZESKA pije haust i podaje Paolowi.

PAOLO.

Szczęścia podeście Pezara!

Pije, w tył odrzuciwszy kędziory. U drzwi, po prawej, słychać głos Malatestina, który nagle otwiera drzwi i staje w progu, cały w zbroi. Zdala, w dziedzińcu słychać trąbkę.

MALATESTINO.

Już gotów
jestem, Dżiowanni! Oto znak, by siadać!
Na koń! na koń!

Zasłona.



AKT V.

Przez odchylone kotary, w pięknej komnacie, widać Franczeskę, w ubraniu, spoczywającą na łożu. Towarzyszki w białym stroju, z lekkiemi, białemi przepaskami naokoło twarzy, siedzą na małych stołeczkach, rozmawiają szeptem, aby nie przeszkadzać pani. Obok nich, na ławce, stoi pięć srebrnych lampek.

Towarzyszki mówią o głowie Parczitady, którą Dżianczіotto przytroczył sobie do siodła. Franczeska wzdycha głęboko i majaczy — znać ciężkie ma sny. Nagle wydaje okrzyk przerażenia, powstaje z łoża, jakgdyby chciała przed dzikim uciekać pościgiem; rękoma czyni ruchy naokoło bioder, jakgdyby pragnąc uwolnić się od czyjegoś chwytu:

„*Nie! nie! to nie ja! to nie ja! Ratunku!*
Już mnie chwytają zębami! Już z wnętrza
wyjmują
serce! Ratunku!
Paolo!.."

Zapędza się, potem nagle staje, miarkuje się, blada, przerażona, podczas gdy towarzyszki starają się ją uspokoić. Niema nikogo — mówią — sen tylko jakiś nawiedził ich panią.

W zamku cisza — widziały tylko — mówi Garsenda:

„kogoś... co stał tam... Stał tam nieruchomy
tuż popod murem
jak posąg jaki... sam... Pas mu się świecił.
O nie... nie... madonno!
Niechże się Miłość wasza tak nie lęka!..“

Zbliża się do Franczeski i cichym mówi jej głosem: *„Messer Paolo.“*

„Czego chciał?“ — pyta Franczeska, a potem:
„Idźcie! idźcie!“

I towarzyszki zabierają swe lampki srebrne i kolejno, jedna za drugą, pożegnawszy się z panią, odchodzą. Ostatnia żegna się Biankofiore, zapłakana, rozczulona rozmową o siostrze Franczeski, Samarytanie. Zapala lampkę przy jednym ze świeczników i nachyla się, chcąc Franczeskę, na pożegnanie, pocałować w rękę:

FRANCZESKA.

Odejdź.
Przestań już płakać. Smutne myśli przejdą.
Jutro zaśpiewasz... Idź już...

Biankofiore zwraca się powoli ku drzwiom. Kiedy już ma wyjść,

FRANCZESKA, w pozie nasłuchującej, jakgdyby coś przeczuwając:

Nie odejdziesz,
Biankofiore?

BIANKOFIORE.

Nie, zostanę z tobą,
madonno! Pozwól mi zostać, przynajmniej
pókąd nie wróci Smaragdi.

FRANCZESKA waha się chwilę, potem:

Nie! odejdź!

BIANKOFIORE.

Niech Bóg, madonno, ma cię w swej opiece!

Ultima exit.

SCENA TRZECIA.

Słychać zamykanie drzwi. Franczeska, pozostawszy sama, podchodzi kilka kroków ku drzwiom, potem staje, nadsłuchując.

FRANCZESKA.

Niechże się stanie. To me przeznaczenie!

Podchodzi ku drzwiom zdecydowana.

Zawołam!

Waha się i wraca.

Jeszcze stoi! Stał przy murze —
Stał niby posąg, sam.
Pas mu się błyszczał w ciemni. Któż to mówił?
Któż to powiedział? Jakież to dalekie!
Pod hełmem twarz mu płomienieje cała.

Wizye, nakształt błyskawic, przenikają jej duszę.

Milczący patrzył wskróś dzirytów
swoich pachołków.
Strzała przeszywa mu głowę.
I już zmazane piętno zdrady!
Wychyla czarę, przechyliwszy głowę.
Ach! wszystko znika! znika!
Wróg w swojej garści trzyma
topór i tajemnicę!
„Macie mnie, kaci, macie!
Jestem po waszej woli!“
Ale żelazo ust nam nie rozdzieli:
tak! nie rozdzieli płomienia!

Chodzi po komnacie, błędna i znękana, z błyskawicami w duszy.

Tak. Stopionego nie rozdzieli płomia.

Podchodzi do stoliczka, bierze srebrne zwierciadło i przegląda się w niem.

O ty milczenie, ty wodo głęboka,
ty blady grobie mej twarzy
śmiertelnej! Jakiż głos tu
mówi, żem nigdy nie była tak piękną?
I w samotności płomiennej
tych waszych oczu żyłam
z taką skrzydlatą mocą,
walcząca zdala, samotna...
I jeden tylko głos
rozbrzmiewa z wieży serca
i wszystka krew ucieka...
Ach!

Słychać ciche pukanie do drzwi. Franczeska, przerażona, kładzie lustro na stoliku, gasi świecznik, podchodzi ku drzwiom, tłumiąc oddech, i woła przyciszonym głosem:

Smaragdi! Smaragdi!

GLOS PAOLA.

Franczesko!

FRANCZESKA gwałtownym ruchem otwiera drzwi.

SCENA CZWARTA.

FRANCZESKA z namiętnym oddechem rzuca się w objęcia kochanka.

Paolo! Paolo!

PAOLO ubrany tak samo, jak wieczorem, z odkrytą głową. Franczeska tuli mu się do piersi.

PAOLO.

O moje życie! Tęsknota ma k'tobie
nie była nigdy tak szaloną! Czułem,
że już do mego serca

wnikały słabiej duchy,
żyjące w twoich źrenicach. Ma władza
już się gubiła śród nocy, płynęła
z mojego serca wzburzonym
strumieniem krwi; ma dusza
tak była przerażona,
jak w onej tajnej godzinie,
kiedyś mnie z Bogiem przeszyła
swą strzałą
i tam zawiodła, zkąd niema powrotu,
choćby człek wrócić zapragnął.
Żali nie dnieje? Żali już dnieje?
Wszystkie już gwiazdy zgasły w twych rozwianych
włosach, w dziedzinie mroków, dokąd usta
już nie zdołają dotrzeć...

Franczeska przechyla się coraz bardziej, a on całuje namiętnie jej włosy.

FRANCZESKA.

Przebacz! Przebacz!
I ty mi snadź już byłeś
daleki i milczący,
z źrenicą suchą i martwą, jak wówczas,
śród tych dzirytów martwych, nieugiętych.
I sen, straszniejszy, twardszy od topora,
przeciął mą duszę na dwoje
i jak pień rzucił straconą
na głaz. I przyszło na mnie jakieś widmo,
które oddawna widuję,
a które mnie pożera.
I byłam napełniona
przestrachem i przerażeniem —
i drżącą mnie widziały towarzyszki moje,
ach! i płaczącą!

PAOLO.

Płaczącą!

FRANCZESKA.

Przebacz mi, przebacz, słodki
mój przyjacielu! Tyś mnie znów przebudził -
i oswobodził z lęku!
Jeszcze nie nadszedł poranek;
jeszcze się gwiazdy nie ukryły w morzu,
lato nie zmarło jeszcze; i tyś moim
i jam jest cała twoją!
I radość jest zupełna
w naszego życia płomieniącym ogniu.

Kochanek ją całuje z nienasyconą żądzą.

PAOLO.

Trzęsiesz się!

FRANCZESKA.

Drzwi otwarte
i chłodne tchnienie nocy
zawiewa k'nam. Nie czujesz?
To chwila
pełna milczenia,
co zimną sieję rosę
na grzywy rumaków w drodze.
Zamknij, Paolo, drzwi.

PAOLO zamyka drzwi.

FRANCZESKA.

Czyś ty ich widział na swe własne oczy
odjeżdżających?

PAOLO.

Widziałem.

Długom ci patrzał z wieży, aż ostatnia
zniknęła w mrokach lanca.
Chodź, chodź, Franczesko! Długie są przed nami
chwile rozkoszy,
z dziką melodyą jesieni, z płomienną
kaskadą samotności,
z gwałtownym biegiem rzeki,
co nie ma ujścia żadnego
dla nieśmiertelnych swych pragnień;
ulatująca chwila
lękliwą budzi mi żądzę
do życia tysiącem żywotów,
z drżeniem powietrza, które pieści ciebie,
z burzliwym morza oddechem,
ze szałem świata,
ażeby żaden z nieskończonych bytów,
które są w tobie,
nie był nieznany dla mnie,
abym nie umarł przedtem,
zanim z twych tajnych głębin
nie wydobędę
i nie skosztuję ostatnich
korzeni mojej rozkoszy.

Ciągnie ją ku aksamitnym wezgłowiom przy oknie.

FRANCZESKA.

Całuj mi oczy, rozcałuj mi skronie,
i moje lica, i szyję...
Tak... o... tak!..
Rozcałuj pulsy i palce...
Tak! bierz mi duszę i odwróć ją tak,
ażeby tchnienie nocy
znów ją zawiodło ku temu,
czem była!

By ją zawiodło ku odległym rzeczom
to słowo nocy,
i aby szczęście, raz zakosztowane,
zamknęło mi serce,
abym widziała ciebie
tym, jakim byłeś, nie tym, jakim będziesz,
o ty mój piękny, słodki przyjacielu!

PAOLO.

Zawiodę ciebie tam, gdzie zapomnienie.
Czas już nie będzie miał władzy
nad pożądaniem,
które przestanie być sługą.
Dzień z nocą stopi się w jedno
na ziemi, jak na wezgłowiu,
i ręce świata nie będą już mogły
rozdzielić czarnych ramion z ramionami
białemi,
ani nie rozplączą
włosów i żył posplatanych.

FRANCZESKA.

Wszak mówi książka, której nie czytałeś:
„Jednem byliśmy w życiu, tak jakeśmy
godni być jednem i w śmierci.“

PAOLO.

Niech będzie
księga zamknięta!

Wstaje, zamyka książkę na pulpicie, zdmuchuje światło.

Nie czytaj! Gdzieindziej
jest napisane Przeznaczenie: w gwiazdach
jest napisane, drżących
jak twoja szyja, i twe pulsy,

i twoje skronie,
może dla tego, że były
twoją koroną i twem przeznaczeniem,
kiedyś w płomieniach schodziła
z niebios na ziemię. A z jakiej winnicy
— powiedz — zerwałaś to przepiękne grono?
Woń upojenia
mają i miodu,
jak żyły, nabrzmiałe rozkoszą! Owoce
nocy! Miłości płomieniste stopy
wycisną słodki z nich napój. Daj usta!
Daj usta! Jeszcze! Jeszcze!

FRANCZESKA podaje mu się na wezgłowiu, nieprzytomna, zwyciężona. Nagle głęboką ciszę przerywa gwałtowny łomot w drzwi, jakby kto bił w nie pięściami, i kochankowie zrywają się przerażeni.

GŁOS DŻIANCZIOTTA.

Franczesko! otwórz! Franczesko!

FRANCZESKA skamieniała z przerażenia.

PAOLO badawczo rozgląda się naokoło, trzymając rękę przy sztylecie. Wzrok jego pada na obręcz drzwi zapadnych.

PAOLO głosem stłumionym.

Odwagi! męstwa! Ja się tu ukryję
za te zapadne drzwi,
a ty mu pójdziesz otworzyć.
Tylko mi nie drżyj! nie drżyj!

PAOŁO otwiera drzwi zapadne.

Pod uderzeniami Dżianczciotta podwoje zdają się rozpadać w kawały.

GŁOS DŻIANCZIOTTA.

Otwórz, Franczesko! Na twą głowę!

PAOLO.

Otwórz!
Otwórz! idź! ja zasię
poczekam tutaj pod oknem. Na krzyk twój
skoczę, jeżeli cię ruszy.
A tylko nie drżyj! Odważnie!

PAOLO schodzi, podczas tego Franczeska, nadsłuchując, chwiejnym zbliża się krokiem do podwoi.

GŁOS DŻIANCZIOTTA.

Otwórz, Franczesko! Na twą głowę, otwórz!

SCENA OSTATNIA.

Dżianczziotto w pełnej zbroi, okryty kurzem, wpada, jak szalony, przez otwarte podwoje do komnaty i szuka brata. Naraz go spostrzega, ponieważ Paolo głową i ramionami wystaje ponad posadzkę, daremnie usiłując uwolnić suknię od żelaznej zapory, do której się przyczepiła. Franczeska, spostrzegłszy go również, wydaje krzyk przeraźliwy, podczas gdy Kulawiec rzuca się na cudzołożnika i, pochwyciwszy go za włosy, zmusza do wyjścia na górę.

DŻIANCZIOTTO.

Sameś się dostał w pułapkę,
ty zdrajco! Dobrzem cię chwycił
za grzywę!

FRANCZESKA rzuca się z groźnem obliczem na niego.

Puść go! puść go!
Na mnie się pomścij! na mnie!

Małżonek puszcza swą zdobycz.

PAOLO skacze na drugą stronę schodów i dobywa sztyletu. Kulawiec zrywa się za nim, wyciąga miecz z pochwy i ze strasznym rzuca się na niego impetem.

FRANCZESKA błyskawicznym ruchem rzuca się pomiędzy nich obu, a ponieważ mąż w rozpędzie nie może powstrzymać już ciosu, szpada pierś jej przeszywa. Franczeska zatacza się w kółko i pada w objęcia Paola, który sztylet wypuścił był z ręki.

FRANCZESKA umierając.

Ach! Paolo!

Kulawiec wstrzymuje się na chwilę. Widzi żonę w objęciach Paola, który ustami swemi zamyka jej konające usta. Kulawiec, szalony z bólu i wściekłości, drugim ciosem zadaje śmierć bratu. Oba splecione ciała zataczają się i padają, bez najmniejszego jęku i nie rozłączając się, na podłogę.

Kulawiec nachyla się w milczeniu i, na jedno przyklęknąwszy kolano, na drugiem łamie szpadę skrwawioną.

Explicit tragoedia.



ZAMEK LUCYLI.

Wyjechałem, pewnego wieczora, do zamku Lucyli...

Zapalone latarnie wielkiej kolasy znęcały błędny lot komarów nocnych, które ze szmerem żwawych skrzydeł wirowały dokoła tej niby gwiazdy uwięzionej a przyciągającej.

Z nadrzecznych przybywając urwisk, z wilgotnych o zmierzchu ogrodów, z zalanych ciemnością gąszczów różanych, z alej pomrocznych, — przeszywały drgającym wyrajem wrażliwe milczenie wieczoru, różano i płowo kładącego się na wzgórzach żniwnych i leśnych, het gdzieś ponad dachami miasta.

Ciężkie konie, z posplatanemi w warkoczyki grzywami i ogonami i z jakąś błahą różą na czole, biły kopytami o rozdźwięczny bruk pustego placu, i wysunąłem głowę przez drzwiczki, aby napędzić do pośpiechu pocztyliona, znającego drogi, wzgórza i całą okolicę, kędy, w cieniu ogromnych borów ochronnych, na ustroniu, pośród rozległych stawów i chłodnych sadzawek, w głębi

usianych gaikami parków, krył się zamek niezwykły i nikomu nieznany, do którego Lucyla zaprosiła mię, uśmiechnioną oczu obietnicą, na zabawy tryskające z fontan i kwiatów, na słodkie księżyce ponad wonnemi trawnikami, ponad stołami owoców i kryształów — tajemnice siedziby przystosowanej do jej sposobu czucia się kobietą — na upojenie, w jakimś samotnym a omdlałości pełnym, jak szczęście samo, buduarze, jej ciałem poprzez muślinów koronkę, jej włosami, tak nieodzownie oddanemi na pastwę surowym szponom grzebienia i tak ruchomemi w tem jeństwie, a teraz wolnemi nareszcie i rozsiewającemi wonną wichurę pudrów i deszcz prochów złotych, na zbudzenie się wreszcie, po odpoczynku na sofie, i na szeptane do ucha najcudniejsze baśnie wschodnie, paplaninę miłosną a naiwną zaczarowanych królewien w pałacach zabaw psotnych...

Ostatni owadek towarzyszył długo chyżej kolasie. Krążył dokoła latarni, przelatywał tam i z powrotem w wachlarzowatej smudze światła, która zdawała się igrać z nim i odtrącać go ku ciemności, kędy, pośród zdumienia wiosek w śnie pogrążonych, dzwoniły grzechotki zaprzęgów oraz kruche szyb powozowych kryształy.

Droga przez wzgórza i spadki, śród pól, gajów i żywopłotów, podwójne balustrady mostów rozdźwięcznych i żwirowatych, droga przez groble stawów i przekopy górskie, pod nocą ugwiaździoną i przy wietrze dławiącym się w wąwozach a łkającym cicho w listowiu.

Słupki przydrożne, jeden po drugim, białe śród mroku, drogowskazy na rozstajach, żebrak nad rowem, wszystko mówiło, że jedziemy ku zamkowi Lucyli.

Świt wzeszedł nad rolami i miastami nieznanemi i nad wysokiemi górami. Konie wietrzą het w oddali, po za skałami i widnokręgami, przystań przednich pastwisk i owsów radosnych.

Śród kwiatów-że-to uśmiechnie mi się liczko jej w przedsionku, czy też może wybiegnie sama aż do zakrętu drogi, aby czatować na przybycie podróżnika, na ukazanie się pudrowanej głowy pocztyliona, na strzelanie batów i trąbek odgłosy?

Słońce chyli się ku zachodowi; kolasa wciąż toczy się traktem; długa droga bez popasu rozczochrała perukę pocztyliona, poplątała grzywy końskie, a pył, który wcisnął się w otwory brzękadeł, głuszy ich dzwonność.

A jednak to tam, wiem doskonale, coś upewnia mnie, że to tam, pośród tych gajów, kryje się, u kresu dróg, pośród wód i ogrodów, zamek Lucyli.

Jakaś raca przepyszna, wytrysnąwszy z szelestem i trzaskaniem pośród nagłych muzyk w ten zmrok wieczorny, rozkwieci się oto za chwilę w promienisty bukiet złotych płatków i dyamentów gwiezdnych, i obwieści ponad gąszczami, w których rozebrzmią kaskady śmiechów i źródeł, blizkość frontonów i dachów.

Wieczór jest ciepły i cichy. Kędyż przysiadły białe gołębie, o których opowiadała mi, że krążą niby naszyjnik skrzydlaty nad jej siedzibą, upuszczając niekiedy z dziobków tęczujące opale w rozległe modre jeziora?

O jakże słodka byłaby gędźba ich skrzydeł! gdzież więc znak jaki ich obecności?

To tam, droga się kończy u wielkich głazów sterczących, które zagradzają biegnącą w górę aleję drzew: przeszkoda dowcipna, wskazująca każdemu, że tu wyzuć się trzeba ze wszystkich okazałości przybycia i przepychów zaprzęgu i że, z chwilą wstąpienia w dziedziny Pani, trzeba się oddać w pieczę jej wystawności gościnnej.

Poszedłem sam długą aleją śród milczenia i zmroku.

O kłamliwa i płocha Lucylo, czemuż przyobiecywałaś mi tyle zmyślonych rozkoszy: swą postawą — siedzibę królewskiego wykwintu, swemi włosami — słodycz jedwa-

biów i czarodziejstwo złota, swym głosem — pieśni i chorowody, swemi usty — barwę i upojność win świętych, pierśmi swemi — cudność owoców, swemi oczyma — wody spokojne, kędy marzenie zstępuje pomiędzy barki i łabędzie, między odbicia drzew okólnych i szlachetnych kamieni!

O Lucylo, cóż za smutna pielgrzymka do zamku twej duszy!

Bezradośnie zadrżałem w opuszczeniu twych komnat i pustce milczenia, o siedzibo popiołów! a przy odejściu, wzrok mój, tkwiący na zniszczonych fasadach i obnażonych frontonach, tych maskach nieuleczalnej nędzy wewnętrznej, ujrzał je raz jeszcze, kołyszące się chwiejnie w widziadlanem zwierciedle wód martwych dookoła, rozprzęgające się zwolna i jak gdyby stapiające w jakąś nicość ułudę swego kłamstwa.

Od świtu do wieczora, od wieczora do świtu, oglądałem z powrotem trakty i mosty, białe o zmroku słupki przydrożne, równiny, góry, miasta, i cóżbym mógł odpowiedzieć, gdyby żebrak na rozstaju, który wyciągał rękę po swój obol, lub gdyby dzieci wiejskie, co wdrapywały się na stopień powozu, aby wyżebrać jaką jałmużnę lub dar niespodziany, których odmówił im egoizm i zawrotny szał mojej żądzy, — rozbiły kamieniami szybę kolasy, w której powracał, smutny i zgnębiony, pogrom mego marzenia!

Z cyklu „Contes à soi-même“
PRZEŁOŻYŁ Z. P. Henryk de Régnier.

Z „Trofeów.“

Zapomnienie.

Świątynia w gruzach leży na przylądka czole.
Śmierć pomieszała tutaj, w płowej brzegu glinie,
Bohaterów ze śpiży, z marmuru boginie.
Gąszcz traw samotnych kryje sławną ongi dolę.

Niekiedy jeno, stado wiodąc pić bawole
I pełniąc spokój niebios i dal mórz w głębinie
Dźwiękiem muszli, zkąd echo starożytne płynie,
Czarno mignie w lazurze pasterskie pacholę.

Ziemia-Matka, i stare tkliwie pieszcząc bogi,
Rozzielenia co wiosnę, z daremną wymową,
Nowy akant nad prysłą kapitelu głową;

Ale człowiek, oziębły na sen przodków błogi,
Nie drgnie, słysząc w pogodnych nocy majestacie
Płacz Morza, co się żali po Syren swych stracie.

Nemea.

Odkąd pogromca zniknął w kniei czarnej mroku,
Pilnie śledząc po ziemi ślad łapy złowrogiej,
Jeden ryk przeraźliwy zdradził uścisk srogi.
Wszystko ścichło. Krąg słońca mdleje w krwi potoku.

Pasterz, co, cały drżący, wytężając kroku,
Ku Tyryntowi pierzchał przez ciernie i głogi,
Obraca się i — okiem rozszerzonem z trwogi —
Widzi pod lasem bestyę sprężoną do skoku.

Krzyknął. Postrach nemejskiej widział okolicy,
Groźnie rozwartą paszczę w zachodu krwawicy,
Las grzywy i kły lśniące, któremi rozdziera;

Bo zmrok, człeka ze zwierzem stapiając ponuro,
Pod straszną, zwisającą z Herkulesa skórą,
Potwornego jakiegoś stwarzał bohatera.

Antoniusz i Kleopatra.

Oboje spoglądali z tarasu wyżyny
Na Egipt w śnie tonący w noc duszną i parną
I na rzekę, co, Deltę przecinając czarną,
Ku Bubastis lub Sais toczy swe głębiny.

I Rzymianin, wódz-więzień, piastun snów dzieciny,
Czuł, pod stalną zbroicą, bojami ciężarną,
Jak na pierś mu zwycięzką mdleją, gną się, garną
Leżące mu w uścisku gibkich członków trzciny.

Zwracając blade lico z ciemnych włosów toni
Ku pijanemu tchnieniem nieodpartych woni,
Podawała mu usta i ócz jasność złotą;

A pochylony nad nią Imperator w szale
Ujrzał w wielkich źrenicach, gdzie lśnią gwiazd opale,
Całe morze olbrzymie z pierzchającą flotą.

Zdobywcy.

Jak wyląg białozorów z pustej gniazd kostnicy,
Wyniosłej nędzy swojej nie chcąc znosić dalej,
Ruszali z Palos wodze, włóczędzy zuchwali,
Pijani marzeniami, bohaterscy, dzicy.

Szli na zdobycz bajecznej złotych rud skarbnicy,
Która w dalekich żupach Sipang-ho się pali,
A wiatry peryodyczne pchały ich po fali
Ku Zachodniego morza tajemnej granicy.

Co wieczór, pełnym wiary w jutro walk epiczne
Zwrotnikowego morza tonie fosforyczne
Stroiły sny w czarowne, złociste miraże;

Albo znów—pochylonych na karawel przodzie
Olśniewały na niebios nieznanych obwodzie
Wstające z Oceanu gwiazd nieznanych straże.

Samurai.

Był to człowiek o dwóch szablach.

W roztargnieniu po dźwięcznej wodząc palcem biwie,
Ujrzała przez bambusów delikatne kraty,
Pośród wybrzeżnych piasków lśniącej, płaskiej maty,
Serc zwycięzcę, o jakim marzyła tak tkliwie.

To on. Szable u boków, wachlarz jak w podrywie;
Węzłowatego sznura i chwastów szkarłaty
Przecinają czerń zbroi; z ramienia bogaty
— Hizen czy Tokungawa — herb lśni połyskliwie.

Ten piękny, świetny rycerz, strojny w blaszki, znaki,
Z po za bronzów, jedwabiów i świecącej laki,
Zda się czarnym, olbrzymim, lśniącym skorupiakiem.

Spostrzegł ją, uśmiechnął się w brodę swojej maski,
A przy śpieszniejszym kroku drżące nad szyszakiem
Dwa rożki pozłociste żywsze sieją blaski.

Na posąg strzaskany.

Mchy zbożne — oczy wreszcie przymknęły mu smętne;
Bo w tej puszczy zapadłej szukałby napróżno
Dziew, co z mlek, win ofiarę lały ongi dłużną
Na ziemię, której znaczył granice pamiętne.

Dziś chmielów, bluszczów, kalin gałęzie pokrętne
Gęstwą złomek ów boski oplatają drużną;
Nie wiedząc, Pan czy Faun to, z ochotą usłużną
W rogi skroń potrzaskaną stroją mu odświętne.

Patrz. Skośny promień słońca, pieszcząc go łagodnie,
W twarz spłaszczoną ócz złote wstawił mu pochodnie;
Dzikie wino się śmieje krasą ust czerwoną;

I — czarodziejstwo ruchu! — szmer wiatru, dreszcz liści,
Cienie błędne, skry słońca, co drgają i płoną,
Wszystko — boga żywego w złomie głazu iści.

PRZEŁOŻYŁ Miriam. José-Maria de Heredia.

Różne drogi.

Na wierzchołku góry jest chłodno materyalnie, ale bliżej ku słoncu matematycznie, myślowo. Tam mieszka prawda. Ku prawdzie tej wiodą różne drogi, po których wspinają się poszukiwacze. Jedni z nich przystają i cieszą się krajobrazami, a niekiedy, aby lepiej się niemi nasycić, na pewnych średnich wysokościach osiadają. Inni, roztęsknieni za niziną, nie zdążywszy wejść, już się w dół staczają. Inni, zatopieni w swej myśli, ambicyą porwani, na oślep drapią się po stromiznie, aż im tchu zbraknie. Inni wchodzą świadomie i odmierzenie. Innych prawda olśniewa wizyą wpierw jeszcze, nim doszli. Innym intuicyjna pewność, że dojdą sami, pozwala na pomaganie słabszym, w drodze omdlałym, lub zniechęconym trudnościami. Nakoniec są inni, którzy, zwątpiwszy sami, gaszą zapał płonących, rzucają w nich kamieniami, grożąc, złorzecząc, szydząc i kusząc do cofnięcia się na dół, ku nim, złośliwym i niemocnym. Oni dali folgę swej żądzy w jakiejś przygodzie, a teraz, ziewając, wołają do siebie dla towarzystwa, niby dla pomówienia o onej prawdzie wielkiej, a w rzeczy po to, aby nudy swej zarazę wszczepić w niezakażonych jeszcze, niezwątpiałych, co żądzy nie ulegli. Kto na obłudne wołania tamtych odpowie, ten i sam ginie. Ale są jednak i tacy nieczuli odmieńcy, którzy na wszelkie wołania towarzyskie odrzucają tę odpowiedź:

— Jest prawda maleńka dla rzeszy: jeść trzeba; jest prawda większa dla królów: trzeba królować; jest prawda wielka dla samotników: trzeba duszę zbawić; i jest prawda największa: objawienie duszom zbawionym. Ku tej prawdzie dążmy wszyscy, a w niej się, nawet nie po jednej drodze idąc, spotkamy.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

NAD MOGIŁĄ JULIUSZA SŁOWACKIEGO[1].

Groza bierze przerywać ciszę grobu; groza tem większa, gdy w grobie leżą prochy tego, co gdy

... mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha,
To krzyczał z piersi — tak jak morze krzyczy,
A Bóg go słuchał tak, jak globu słucha.

Groza, aby martwy ten strasznego nie zrobił wyrzutu:

... Jam ducha w duchy wasze wrzucił,
A wy mnie chcecie z siebie wyrzucić językiem.

Zresztą, nad mogiłą pieśniarza

Złote palmy — niewidzialną koronę
Spuszczą z chmur turkusowych, ze złotego nieba
Róż ognistych nasypią! Więc też nie potrzeba
Kaznodziei poecie!

Nie do grobu więc mówić nam, lecz stojąc tu sprężać serca i wytężać duchy, nasłuchiwać tęsknie a trwożnie, żali grób do nas mówić nie zacznie. Bo wieją nad nim szelesty i poszmery dziwne

---

[1]) Mowa wygłoszona nad magicznym w swej ciszy grobowcem na cmentarzu Montmartre d. 3 Kwietnia r. 1898. Iż nic do dzisiaj niemasz w słowach tych do zmienienia, powtarzamy je tutaj (z paryskiego *Wolnego Słowa Polskiego*) w pamiętnym roku, gdy Warszawa po raz pierwszy głośno obchodziła rocznicę śmierci poety.

niby strun harfianych, bo widma jakieś i mary krążą tu w powietrzu, unosząc, niby odbicia i echa, to, co było najdroższem poecie. I oto „zkąd ten akord? gdzie ta harfa się odezwała?"

Cichy, wiatrzany a słoneczny, melodyjny a promienny, nieskończenia i tajemnic pełny, płynie zkądciś dźwięk *Eolion*, imię jednej z ostatnich, z epoki najotchłanniejszego marzenia datujących inkarnacyj ducha poety. I dźwięk ten rośnie, idąc, i potężnieje, niby rozjęk dzwonu srebrnego, a wokół niego pogrzmiewają wstrząsające rozhuki rapsodów *Króla Ducha,* wrą i szumią oceanowe pogwary bezbrzeżnego morza *Genezis z Ducha,* drżą i tętnią i głos dają tajemnicze otchłanie *Wykładu nauki* i *Listu do Rembowskiego.*

A gdy wsłuchamy się w hymnową, dytyrambiczną tych głosów symfonię, oto jawi nam się w olśniewającej chwale i królewskości oblicze ducha, które je wszystkie ujął, zaklął, ucieleśnił i w niewysłowną tę harmonię powiązał.

Królem był ci on, królem państw nieprzejrzanych, bogactw nieprzebranych, zastępów niepoliczonych. Obracajmy karty dzieł jego, tych annalów poczynających się od chwili, gdy wstąpił na święty tron poezyi, a ujrzymy, iż mocarzył nad wszystkiemi najsłodszemi upojeniami miłości, nad wszystkiemi najcięższemi bólami ludzkiemi, iż w dziedzinie największych porywów społecznych i narodowych ogromne słowa jego niby ciosy padały piorunowe, iż w zaczarowanym borze legend, podań, tradycyj panem był wszechwładnym i ukochanym. Wszystko to wrzało w nim, falowało, niby szlachetne wino w opalowej czarze, a tęczowemi i gędziebnemi bijąc w górę wytryski, zdawało się do gwiazd niepoliczenia nowe na niebiosach ludzkości przydawać gwiazdy. Dusza jego była

Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napełnił przelotem
Tonów — i zamknął napełnioną grzmotem.

Rozhukany hippogryf jego wyobraźni nie znał granic żadnych, ni zawad:

. . . . . moje pałace
To dęby dziwnie szumiące
Nad ślepym jak wietrzne burze,
A moje sioła to w górze
Słońca, gwiazdy i miesiące,
Pełne tęcz i rajskich ptaków,
Które ślepemu się marzą,
Bo mój wiek tak złotą twarzą,
Jak w pieśni wędrownych żaków
Upiór, wygląda z ciemnoty
Pełny cudów. . . . .

A mowę, to berło mocarzy ducha, miał:

w jakieś anielskie kolory
Ubraną, która połowę
Słów zamieniała już w tony.

Ogarnął wszystko, co zgraję ludzką zajmuje, porusza i wstrząsa, dał wszystko, za co tylu innych jużby uwielbienie, miłość i chwałę zyskało. Ale to mu nie wystarczało. Bo on, według słów Krasińskiego: „trzymał nakształt harfy eolskiej duszę swoją wyżej nad wszystkich dłonie ludzi, śród powiewów nieba“, bo on z pośród tych bogactw i przepychów tęsknie jednak

. . . . . skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi — chciwy nowego żywota,

by syrenie, nieodparte głosy wieczności i nieskończoności tak rozśpiewały mu się w duszy, iż, jak legendarny król Kofetua, rzucił wszystkie swe skarby, wszystkie swe bogactwa, wszystkie swe moce pod bose stopy wzgardzonej i odpychanej wśród ludzi żebraczki, której oczy patrzą wiecznie w dal, w nieskończoność, w niedojrzaność, w zagadkowość: pod stopy idei. Lecz nie tej samozwańczej, która ułamkowe i efemeryczne tworzy doktryny, jeno owej platońskiej, przedwiecznej i kresów nieznającej, która wiekuisty rytm bytu i ducha w tajemnem ukrywa swem łonie. Ukochał ją — i w chwili tej okazało się

. . . . . jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły — choć wszystkie jeden hałas czynią.

Oto duch, sprężony całą siłą upragnienia, całą potęgą niezwalczonych, nostalgicznych tęsknot ku pierwopoczątkowi swemu i ku najwnętrzniejszej swej istocie, zaprowadził poetę na skały oceanowe, na owe jedynie chwilowemi odblaski złocące się urwiska pośród otaczającego nas groźnego *mare tenebrarum* — i tam przed olśnionemi jego oczyma rozsłoniła się olbrzymia wizya, niby gwiazd ćwiekami do niebios przybita sklepienia, wizya wiekowych dziejów ducha, metamorfoz jego stopniowych i celów ostatecznych. W uszach rozegrzmiał mu groźny i tajemniczy śpiew:

Gdy wyrośniesz na człowieka,
Staną ci sny, jak liczny wróg,
I stworzysz świat, jak tworzy Bóg;
Ale nie świat szalonych scen,
Lecz nikły świat, jak ze snu — sen.
I złamiesz świat, i pójdziesz wbrew
Wojskami mar przeciwko ciał,
I będziesz myśl przemieniał w krew.
Nam dawał moc i od nas brał;

I będziesz król... lecz będziesz sam,
Albo więc idź, albo się złam...

Poeta nie złamał się, złamał natomiast wszystko, co w nim było słabością, pychą, miłością własną, zgodził się na samotność, na odrzucenie, na szyderstwa i potwarze, i poprowadził wojska tego, co pośród ludzi „marami“ się zwie, przeciwko wojskom ciał, które snadź właśnie są marami w obliczu wieczności. Podobnie jak ów drugi olbrzym myśli Hoene-Wroński, leżący również tu, w ubogim grobie na jednym z paryskich cmentarzy, ogarnął całość bytu i ujrzał, że świat nie jest chaosem oderwanych zjawisk i wypadków, że wszystko wiąże się w nim, sprzęga, z jednego wypływa praźródliska i ku jednym finalnym dąży przeznaczeniom, że jedynie w kryształne tego praźródła zapatrzywszy się tonie pojąć mozna znaczenie, rolę i charakter każdego poszczególnego fenomenu, i że najwyższem, orficznem zadaniem poety jest zamknięcie w swych tworach tego dna rzeczy, tej praistoty, tej esencyi, w której wszystkie zbiegają się i z której wszystkie w nieskończoność rozchodzą się łańcuchy. Porzucił wszystko i stanął, niby nowy Jakób, do walki z aniołem. I powstały te bezdenne, tajemnic pełne rapsody *Króla-Ducha,* powstały te hermetyczne po dziś, lecz brzemienne wielką przyszłością nowe Apokalipsy próz genezyjskich, powstały wreszcie, gdy poeta od istoty ku pojedyńczym zjawiskom jął zstępować, takie wiek swój — i nasz nawet być może — wyprzedzające poglądy, jak np. pisemko *O potrzebie idei.*

Z temi trąb cudownemi głosami odchodzi
I znika nam na zawsze z oczu...

— jak śpiewa chór o królu Jagielle w ułamku *Zawiszy Czarnego.*

Ale zanim odszedł, ileż starć, ileż bólów, ileż żółci i nienawiści znieść musiał. Wszystkie zbyt poziome dusze, nie mogące pojąć tych niezmiernych widnokręgów, wszystkie samolubstwa, wszystkie zarozumiałości weszły w sojusz braterski przeciwko temu, który burzył gmach nędzy i płaskości dusznej, wyganiał z ciepłych zakątków i utartych dróg i chciał „zjadaczy chleba w aniołów przerabiać“. Przewidywał to poeta:

Prędzej czy później deszcz piorunów lunie
Na orła, który słońce miał na oku.
Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją
W przyszłość — pioruny Boże jeszcze biją.

Niekiedy jednak nadmiar nędzy, nadmiar zniewag, nadmiar szyderstw i napaści święte w nim budziły oburzenie:

Zgroza! lokajstwo w zbrojach, na oblicze
Włożywszy hełmy, staje mi na drodze —

woła w jednem miejscu. Gdzieindziej z jakąż goryczą mówi przez usta owego nieziemsko pięknego króla Sparty, Agisa:

Dajcie wody lustralnej! W tę pozłotowinę
Miesiąca zapatrzony, śniłem dziwne cuda.
Kleomen! Dajcie wody — lepiej mi bez luda.
Jestem wszakże człowiekiem i mam ludzkie cele.

A gdzieindziej jeszcze z jakąż rezygnacyą zdaje sobie jasno sprawę z nieprzyjaźni świata i z zupełnego swego opuszczenia:

„Mówię to po rozwadze głębokiej, a nie dla chwały własnej — mówię, abym nie zataił przed światem mocy Bożej — pewny, że to wyznanie w wieku dzisiejszym ujmie mi cześć w obliczu świata, który chętnie one rzeczy szalbierstwu albo chorobie zwykł przypisywać, sądząc, że ujmują powagi rozumowi i stają na drodze cielesnym i ciągle w górę idącym usiłowaniom narodów".

Ale raz wybrawszy drogę nie cofnął się z niej.

..... vo per vie men calpestate e sole
(więc dróg się trzymam dzikich i samotnych),

powtarzał zapewne za Michałem Aniołem. Ufał w przyszłość:

Czekaj — wstaniemy oboje po latach,
Gdy błysną łuki tęcz nad okolicą!
Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
Harfiarzy, co jak anioły śpiewają,
Czekajże, liro, śpij!

Przyszłość ta do dziś nie nadeszła. Nie dziw, że poeta nie był zrozumiany przez współczesnych swych, nie dziw, iż miał w nich słuchaczy głuchych lub nawet wrogów, klątw i urągania pełnych:

..... taki jest wieczny
Wielkich duchów na ziemi ciągły spazm serdeczny.

Nie dziw — nie mówiąc już o *Królu-Duchu* lub *Genezie z Ducha,* które dla rówieśnictwa na siedm, zda się, pieczęci zamknięte były — iż nawet rzeczy, w których poeta bliżej ziemi zstępował, miast wielbicieli wrogów mu czyniły. Chodzono po powierzchni, on ku głębiom wołał.

Czyliż mógł go zrozumieć naród, „który stał przewodnikiem i wzorem ludów, a zszedł na małego naśladowcę innych narodów", gdy poeta, karcąc rodaków, że „we własnym duchu twórczość swą postawili pod ideałem *kolorowego ułana*", stwierdzał, iż „taka bezwładność ogarnąć musi powoli masę narodu, która ciągle ku celom

ostatecznym nie jest jako morze przez gwiazdę miesięczną podnoszona"?

Złorzeczono mu lub szydzono, czytając zdania następujące:

„..... nad *ideałem ułana,* nie zniszczywszy go wcale, owszem świętością go celu podnosząc, postawić trzeba wyższą ideę prawdziwą, matkę czynów, którąby, w niebo prowadząc ku celom ostatecznym, wskrzeszała pył drogi, po jakim stąpa."

„Bóg bowiem chce Polski, aby czynila wysokość między wysokościami, do której dążą w ideałach inne narody."

„O Wy! w narodzie... którzy w kontrakcie społecznym albo w jezuityzmie albo w konstytucyjnych machineryach szukacie sił waszych... dlaczegóż nie pomyśleliście o wyjęciu z dusz waszych dawnej polskiej idei, która była *zbudowaniem kraju na wolności Ducha ludzkiego z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń,* a która bez zgody duchów trwać w żaden sposób nie mogła."

„Cudów pragniesz? lecz te będą w rozbudzeniu się duchów, w objawieniu się nagłem naszej *wewnętrznej polskiej natury,* która teraz oszukaną jest i uśpioną brzękiem różnych opinij."

„Nie lękaj się! że jako dziecko w początkach będziesz szczebiotał pomiędzy ludami, nie mogąc zrazu wytłómaczyć się wyraźnie z zapałów twoich."

„Ideą podbijaj Duchy narodów, aż cię ukochają dla wielkości i anielstwa celów twoich! A wszyscy dopomogą do czynu."

„Któż pomoże ludziom niepotrzebnym, którzy oświadczają wyraźnie, iż chcą dom swój na to tylko odebrać, aby w nim używali dostatków i wczasów albo czynili rzeczy prawom innych narodów podobne?"

„Twarz swoją duchową wymaluj przed narodami! — a żaden lud nie zaśnie, ale westchnie, aby się twarz ta ciałem zjawiła..."

„Oto już opinią jest, że myśleć nie umiesz, a dobry tylko jesteś do korda, jak gdybyś nie wziął testamentu żadnego po Ojcach twoich i nie wiedział o żadnym Ducha polskiego rozkazie!"

Dwóch ludzi, podobne, nieledwie identyczne, w tym samym prawie czasie, wygłaszało zdania: bardziej ściśle, bardziej filozoficznie Hoene-Wroński, bardziej tęczowo, bardziej gędziebnie ten, nad którego grobem stoimy. Obaj nietylko przez współczesnych niezrozumiani i odepchnięci byli, lecz po dzisiaj, mimo lat 50-ciu prawie, jakie nas od chwili ich zgonu dzielą, zostali mytem, z którego złotolitej szaty szmat jakiś zaledwie tu i ówdzie po rękach ludzkich

się błąka, a reszta ginie i rozpływa się w mroku niewiadomości... czy niechęci poznania.

Poszliśmy niby naprzód, ale snadź nigdy tak jak dziś nie byliśmy „zdrowi“ i rozsądni — i dla tego wszystkie one cuda ducha, które przed chwilą grób ten przed oczy nam przywołał, wydają się sędziom w państwie literatury, a za nimi i tłumom, — szaleństwem, zdziecinnieniem, upadkiem geniuszu. I chciałoby się z goryczą i ironią powtórzyć za Dantem:

„O voi ch'avete gl'intelleti sani!“

albo za naszym poetą:

O wy, którzy się nigdy nie spotkacie
Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża!
Dla których żywot widzialny jest w chacie,
A Bóg w błękitach próżnych się zanurza,
Dla was są próżne tych czynów postacie,
Dla innych — ducha ton i straszna burza
Owiewająca moją pieśń...

Przyjdą snadź czasy, gdy jasność się stanie, gdy ludzie i ludy pielgrzymować snadź będą do tych ksiąg dziś prawie nieznanych. Kto wie?

Kto wie? (powiada sam poeta)—*jak słońca przyjdą tysiącami!*

Dziś głucho jeszcze o tem. Słyszymy za to głosy nawołujące, aby proch ten święty, nad którym stoimy, do ziemi przenieść ojczystej.

Nie będzież to jednak, nie rzeknę świętokradztwem, lecz przynajmniej sprzeniewierzeniem się temu, który ducha wyżej cenił nad ciało, który w chwilach przedzgonnych marzył, aby po nim poszła do kraju przedewszystkiem ta „siła fatalna“? Nie wyjdzież z popiołów poruszonych głos:

Ciekawy byłeś lecz niezapłakany,
Nie ducha jego szukałeś, lecz kości...?

Przypuszczamy, że tym, którzy o drogie te prochy wołają, brzmi w duszy żałosny wiersz Danta o pozbawionej gwiazd takich krainie północnej:

„O settentrional vedovo sito,
Poichè privato sè di mirar quelle!“

Trzeba jednak te gwiazdy pierwej na niebach dusz rozżarzać. Do ciał, do zmysłów mówiąc, martwe i niepewne się tworzy bożyszcza, do duchów wołając — prawe, wiekuiste bogi. A poczynajmy zawsze od siebie, bo tylko to innym dać możemy, co sami posią-

dziemy uprzednio. Niech owa światłość ogromna, rozlana w tworach tego, którego dziś wspominamy, rozświeci nam dusze niby lampy alabastrowe. Wtedy przeleje się sama do dusz innych — i taka sercami wszystkiemi zatarga tęsknota, że skromny grób ten świecić nam w myślach będzie, jak góra z szafiru z ukrytem w łonie promienistem słońcem. A gdy, pątnicy, przyjdziem wówczas proch zabierać, będzie on już tylko znakiem widomym, symbolem tego, cośmy dawno wzięli sercem i duchem.

Miriam.

POWIEŚĆ.

Stefan Żeromski. *Popioły.* 3 tomy. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa.— Wacław Sieroszewski. *Brzask.* Warszawa, nakł autora. Skł. gł. w adm. „Prawdy."— Marceli Schwob. *Krucyata dziecięca.* Przełożył Miriam. Warszawa, nakł. red. „Chimery."—Karol Irzykowski. *Pałuba. Sny Maryi Dunin.* Lwów. Księg. polska. B. Połonieckiego. — Eliza Orzeszkowa. *Czciciel potęgi.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Conrad (Konrad Korzeniowski). *Lord Jim.* Przekl. Em. Węsławskiej. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—Anatol France. *Gospoda pod Królową-Gęsią-nóżką.* („Wyboru pism" tom II-gi). Przeł. J. Sten. Lwów. Polskie Tow. Nakładowe.—Gabryela Zapolska. *Sezonowa miłość.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—Jerzy Żuławski. *Na srebrnym globie.* Lwów. Tow. Wydawnicze.—Kazimierz Gliński. *Pan Filip z Konopi.* Warszawa. Gebethner i Wolff — Jan Augustynowicz. *W pryzmacie.* Warszawa. Centnerszwer i S-ka. — Al. Kielland. *Kapitan Wörse.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Ad. Krechowiecki. *Mrok.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Bol. Biernacki. *Biuraliści.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—Edm. Paszkowski. *Jasne wody.* Lwów. Tow. Wydawnicze.—J. Gordon. *Kaukaz czyli ostatnie dni Szamyla.* Warszawa. Skł. gł. w księg. Wende i S-ka.

Popioły, przez Stefana Żeromskiego. — Twórców podzielić można na dwie kategorye: na medyów swej epoki i na magnetyzerów przyszłej. Pierwsi są odrazu czyli w ogólnym rysunku zrozumiali i sami łatwiej się tłómaczą, znajdując dokoła żywe komentarze swej istoty. Drudzy są nieujęci jak rebus w nieznanym języku; postać ich z mgieł społecznego *niestworzonego* wynurza się fragmentarycznie, dziwadlanie; ich odsyłacze gromadzkie nie sformułowały się jeszcze w Nieświadomości ludu, któremu są jakby nową od niebios nawianą suggestyą. Sami przeto uświadamiają się mozolnie, wypowiadają nieraz błędnie, chaotycznie. Nie dziw: toć nie słuchają gwarów ulicy, lecz wyznań bogów jutra. Łowią błyskawice intuicyi w ciemnościach. W tamtych jest krystaliczna doskonałość formy; ci mają cudowną mozolność narodzin. Dzieła pierwszych są zwierciadłami epoki; utwory drugich nie mają widocznego związku z żadną; oderwane od czasu i miejsca, pokutują fatalnie w jakiejś przestrzeni wiekuistej... I takiemi są „Popioły" mi-

mo cały swój polski „empire,“ do którego autor *przypadkowo* przyczepił swą błędną psyche i jej obłoczne państwo snów i wspomnień. Nie myślimy robić mu tu zarzutu z tej pysznej kotwicy stylowej: stwierdzamy tylko jej *akcesoryjność* i organiczny autora „eternizm“ [1]).

Indywidualność człowieka rzeźbią szczerby, któremi uwięziony dajmon potęgi wyłamuje się z tępych ograniczeń organicznych; fizyognomia nasza jest hieroglifem walki z własnemi ułomnościami. Żaden może twórca u nas w tym stopniu, co Żeromski, nie „urósł z tego, co boli,“ nie powstał z tego, co pokonał. Najpiękniejsze jego pieśni są jąkaniem się boskiego niemowy; najcenniejsze jego cnoty są zwyciężonemi, a częściej *okrążonemi* błędami; najdroższe skarby — łupem wydartym *niemocy*. Nieustanność jego procesu rozwojowego nawet, to coraz potężniejsze wzrastanie poznawcze i twórcze ma za przyczynę jakieś tajemnicze spętanie, walkę z jątrzącemi więzami, z nieodgadnionem zaklęciem. Bóg w nim jakiś niewiadomy pasuje się bez wytchnienia z jego nieudolnością techniczną; nurt twórczy rwie niezmęczenie tę skałę, co padła w poprzek między nim a światłem wypowiedzeń, i znaczy jego pochód artysty tytanicznemi rumowiskami... Nie czem innem są „Popioły,“ to kalekie dzieło niewymownego *geniuszu*, którego *talent* cały jest *źle nastawiony* i chroma na swych przeciągniętych lub niedociągniętych strunach, i na tych, które mało kto rozumie, i na tych, bardzo nieraz prostych i zasadniczych, których w sobie znaleść nie może. I oto doszliśmy może do najprawdziwszej formuły: Żeromski jest przedziwnym *geniuszem bez talentu;* inaczej: ogromną siłą twórczą bez łatwości artystycznej. Ujawnia się to najdosadniej w fakcie, że, mimo całą dobrą wolę i poddawanie się wpływowi współczesnych tendencyj społecznych i form pisarskich, *nie potrafił* napisać ani jednej rzeczy tendencyjnej i ani jednej prawdziwej powieści! Do-

---

[1]) Jak bardzo przeczuciowym, wyprzedzającym jest charakter twórczości Żeromskiego, dowodzi bodaj *nastrój bohaterski* „Popiołów,“ nastrój, któremu naród później dopiero zaczął podlegać: suggestya czy antycypacya?

Co do „eternizmu“ Żeromskiego, to nie sprzeciwia się on bynajmniej ani owej Norwidowej „nad-narodowej“ narodowości (rozkwitającej nie w sztucznej hodowli, lecz właśnie z hartowania); ani też istnieniu w autorze silnych uczuć i twórczych impulsów patryotycznych. Zawszeć one jednak w pochodzie jego artystycznym są epizodami; (że nie będziemy zauważali, ile w nich przeważa pierwiastek wspomnień staroświeckich, szlachecko-chłopskich). Rdzeniem tworzenia pozostaje u niego instynktownie *dusza*, interes psychologiczny,— „zmysł wewnętrzny,“ zdolny do nieskończonych adaptacyj i do szczególnych między niemi upodobań. Wpływy-kształtujące uczyniły go w tym wyborze — bonapartystą.

wodzi to absolutnej *niemocy naśladowczej,* niezdolności *nauczenia się,* szczytnej tępości geniuszu, którą go natura zmusza do rąbania dróg własnych, gdyż, w przeciwieństwie do reszty ludzi, przychodzi mu to jeszcze *najłatwiej*...

Zasadniczą przyczyną tej tępości genialnej, istotą owych trudności, tam, spętań, jest spowijający Żeromskiego tuman marzycielstwa, roztargnienie czy niedobudzenie zmysłów poznawczych, zewnętrznych. jest wrodzony mu *stan półsomnambuliczny,* odosabniający go wśród wiecznie żyjącej fali zjawisk. Duchowy jego dotyk jest tknięty pewnym bezwładem: jak w sennej zmorze, paraliż ramion wypuszcza upragnioną marę; wrażliwość jego nie ma żywej pewności rzeczy; nie czuje rzeczywistości świata, obcym mu jest sens konkretu. Ztąd tak względnie mało *bryły* w jego pismach, ztąd niemoc w owładnięciu i kształtowaniu rzeczy. Ztąd nieproporcyonalne reakcye wewnętrzne na te bodźce, którym udało się przerwać jego zadumaną nieczułość. I oto co się dzieje: nadmiar życia wewnętrznego zmusza go do wyjścia z siebie, do tworzenia, zatem do zetknięcia się ze światem zjawisk, a spotkawszy się z anestezyą (która uwarunkowała nadmiar wewnętrzny), rozpoczyna z nią fatalnie walkę. Wszystkie utwory Żeromskiego noszą na sobie jej piętno. W „Popiołach" wzrosła ona do rozmiarów tytanicznych, do cyklopowego trudu, do siły dominującej, do prawie świadomego hasła.

Jak dla wielu innych, doba „Chimery" miała na twórczość Żeromskiego wpływ rozstrzygający, wyrwała go gwałtownie z bierności półsennej, w której tonęliśmy wszyscy beznadziejnie. Nakazy „życia wytężonego," ambicyi argonautowych, świadomości władczej, *czujności ustawicznej,* „wiedzy królewskiej" i twórczości sybillicznej zohydziły twórcom ich niziny estetyczne i wzbudziły w nich godną bogów a pożerającą żądzę wyrośnięcia ponad siebie, szturmowania w niebo natchnień, odetchnięcia „całem powietrzem Arabistanu," wprzęgnięcia w rydwan bohaterskiego turnieju wszystkich smoków swej siły, wszystkich władz swej natury. Zdawało się, że zagrzmiała trąba archanioła; rozkaz zbudzenia był wszechpotężny: umarli przewracali się w grobach swych, śpiący zrywali się na nogi i skrzydła, Samsonom odrastały lwie grzywy i łamali okowy długich, wiecznych, zdałoby się, zaklęć. Dokonywały się „transfiguracye," dokonywały się i ich parodye. Zapanował przesąd „ostatecznych konsekwencyj" filisterska obawa przed szczegółem pospolitym, wymuszoność szczudlana, pretensye wieszcze, przesady wytworności, dosadności, obowiązującego szaleństwa, karykaturalne natężania się wedle recepty, „nieforemne" wysilki wzniosłości, „bon ton" nadczłowieczeństwa.

Tylko bardzo nieliczne, trzeźwiejsze lub taktowniejsze jednostki uniknęły raf podwodnych tej „burzy i prądu.“ Wszyscy jednak zyskali na potężnej elektryzacyi. — Żeromski należał do tych, których głębokie uśpienie (kołysało go całe społeczeństwo) przy nadzwyczajnych zasobach wnętrznych skazywało na chaotyczność gwałtownych przebudzeń, na wchłonięcie prawdy i fałszu, ideału z zabobonem, na poddanie się natchnieniu i jego modzie, na rozpętanie swej natury w pewnych kierunkach i zagważdżanie jej w drugich. Powstały „Popioly.“

Charakter przejściowy tych niesłychanych *kronik Rafałowych* objawia się przedewszystkiem w ich *chaotycznej* (na podobieństwo mgławic) *syntetyczności*. Zamknięta w sobie, skończona piękność wielu fragmentów przeczy jej tylko pozornie: bo chaos (rozbity już na pewne stałe ośrodki, jakby przyszłe globy) tworzą właśnie one swem luźnem, daleko tylko spokrewnionem nagromadzeniem w jedną introligatorską niemal całość. Robią one wrażenie wielkiego inwentarza, rachunku wspomnień artysty, który, przed jakimś ważnym nowym okresem życia i jego nowemi czynami, chce się czegoś pozbyć, wyzwolić głowę i ręce od nawiedzeń, wziąć rozbrat z widmami przeszłości, ucieleśniając je *raz na zawsze*, i zaprasza je na Heliogabalową ucztę pożegnalną, zaprasza wszystkie bez wyjątku: wspomnienia dzieciństwa i młodości; czary miłości i bóle wygnania; „góry, doliny;“ kraje oglądane w wyobraźni i na jawie; sny straszliwe; zdumiewająco żywe ewokacye historyczne; przeżycia globowe; widoki mistyczne i krajobrazy dusz rozlicznych; kolibry przedziwnych ulotnych wrażeń; halucynacye najdzikszych gróz życia i wyobrażenia; wszystko, co przeżył w tych trzech działach swej energii: w Mistyce, Halucynacyi i Komentarzu. Te trzy udzielne królestwa pociągają jego instynkty, i zjednoczonym szturmem do jego pióra obezwładniają wysiłki kompozycyi, ładu. Tej nagance potrójnej zawdzięczają „Popioły“ swe niezmierne, prawie potworne bogactwo, i swą także *niepowtarzalność*. Niesłychanie rozrośnięta działalność autora musi się w przyszłości zróżniczkować, jeżeli nie chce, aby się wzajem podusiły te bujne i różnorodne pędy, które w „Popiołach“ wyrosły, i jeżeli ma osiągnąć doskonałą i wszechstronną pełnię artystyczną. Trzy odtąd formy twórcze czekają, aby je uświetnił: — *medytacya mistyczna* (jak np. Ruysbroeck'owe), *fantazya wyzwolona* (Poe, Krasiński i t. p.), *życiorys* wreszcie (komentarze psycho-historyczne), który z jego rąk mógłby przyjąć chrzest nowego stylu. Formy te wyzwolą go nareszcie od utrapień powieściowych: od *łańcuchowej ciągłości* faktów, sprzecznej z naturą jego *zapatrzeń* wizyjnych; od

pomysłowości fabuły, niezgodnej z jego instynktem kontemplacyjnym; i od *dyalogu,* kłócącego się z jego „monologiem wiecznym."

Inną organiczną cechą „Popiołów" jest ożywiający je *punkt honoru mistrzowstwa,* ambicya wirtuoza „całej liry." Dzieło robi wrażenie „majsterstyku" wyzwolin ostatecznych... Autor jest tu atletą, łamiącym swój własny marmur we wszystkie możliwe kształty, artystą, który, znudziwszy sobie powszednie nałogi pisarskie, stawia swemu kunsztowi najtrudniejsze problematy wizyi i stylu, autotwórcą, żądającym ujawnienia się wszystkich potęg ukrytych w jego człowieczeństwie. Jak Artura Rimbaud'a, opętała go „alchemia słowa;" jak on, chciał „posiadać wszystkie krajobrazy," „uczył się" „pisać milczenia, noce, notować niewyrażalne," „przyzwyczajał się do halucynacyi prostej..."

Zdumiewający jest plon tej twórczej autodydakcyi, tego doświadczalnego „training'u" artysty. Osiągnął to, co zamierzał: *wszechstronną potęgę ekspresyi.* Ujarzmił smoka SŁOWA, który słucha wszystkich jego rozkazów. Lapidarny, dyszący, Tacytowy styl opisów wojny zamienia się w pędzel romantyczny lub impresyonistyczny zależnie od krajobrazu; uczonym i pełnym ciekawości à la Huysmans staje się w rzeczach erudycyi, jubilersko wybrednym w terminach, gdy chodzi o nieco manierowe klejnoty wrażeń; w bitwach polowych gra barwami Kossaków i Brandtów; Mantua i Saragossa zieją grozą Goyi; ze staroświecką elegancyą ubiera damy i pozuje młodzież Cesarstwa; wszystkie farby odurzenia ma w czarodziejstwach balu i przepychach magnackich. Umie w słowach otwierać słowicze gardła szczebiotów dziecięcych i rąbać po chłopsku i żołniersku rzezie San-Dominga. Ma niewysłowione związki wyrazów na rozpacze, które budzi piękno, na szały tęsknot po gajach, i ma hańbiące szpicruty na wszystkie nikczemności żądzy i strachu. Każdy kompleks kultury przetapia na swój metal, a taki obraz Wenecyi np. jest niedoścignionem arcydziełem ekspresyi. Ma słowa złożone pełne uroku, omówienia upojone i upajające, onomatopeje samorzutne, nawet gramatykę nagina do swych skrótów szkicowych. Przełożył na język swej duszy wszystkie znane sobie okolice, cywilizacye, barbarzyństwa, klasy dusz i ludzi, wszystkie rozkosze i męczarnie, wszystkie brutalności i cudowności istnienia. Zwalczając swą anestezyę doszedł do ekstatycznej nadwrażliwości, którą skierowywa *dowolnie* jak lunetę ku *wyczerpaniu do dna* potrzebnych mu zjawisk. Ujarzmił swą niemoc, poddał ją swej woli. Nie mógł *zmienić* swej natury, ale ją *przebóstwił.* — I cierń zakwitł różą.

Jest przecie dziedzina, w której zjawia się mistrzem z bożej

łaski raczej, niż z magii Woli, władcą nietylko „prawem zdobywcy," lecz z urodzenia: jest nią *epika liryczna,* inaczej *Mistyka.* Tu „kłęby przezroczystości" jego mowy mają tajemniczą poufność świętych doktorów średniowiecza, z tą różnicą, że terminy symboliczne zastępuje słowem bezpośrednio opisowem. Maluje wszystkie stopnie marzenia, wszystkie otchłanie ekstazy; nie obce mu są święte machiavellizmy stylu i przenośni, wytryski bożego jakiegoś dowcipu, humor moralizujących ryby i ptaki Antonich i Franciszków, pozdrowienia anielskie dla drzew i kwiatów, znaki nieumówione ze wszystkiem, co żyje... komunie miłosne z łąkami, z turniami, z jeziorami...

Próba zjednoczenia powieści historycznej z psychologiczną — zamiar gigantyczny — w „Popiołach" zrobiła fiasco. Kwestya legionów, polskiej masonii i polskiego „żołnierza-tułacza" nie znalazła tu historyozoficznego oświetlenia. Traktowana epizodycznie i trochę specyalnie (z punktu „koloru") wzbogaciła tylko wyobraźnię narodową i rozjątrzyła jej ciekawość. Psychologia obyczajowa epoki jest również ułamkową. Lecz *wysiłek* twórczy użyty dla osiągnięcia celu opłacił się zkądinąd sowicie: dobył na jaw wiele nieznanych stron jego indywidualności, objawił ogrom potencyalny jego geniuszu, *zwiększył prężność jego muskulatury,* podniósł go w hierarchii duchów.

Nie we wszystkich jednak kierunkach są „Popioły" krokiem naprzód. Jak wspominaliśmy, ideał „twórczości wytężonej" ma w sobie złe pokuszenia, i Żeromski niezawsze umiał je od siebie oddalić. Przytem auto-hodowla nie uchodzi bezkarnie: ciemną jej stroną jest pewna mniej więcej uchwytna *sztuczność*... „Popioły" nie mają przedziwnej, bezpośredniej prostoty „Opowiadań" ani ich *dokładności tonu.* Autor tępił w nich również (wyjątkiem „Kulig") ten boski śmiech niewinnego serca, który w dawnych jego utworach niekiedy się rozlegał. Formułka szczytności symbolicznej krępuje tu i owdzie i wyszczudla postać rzeczy. Spotykamy się też z małodusznemi przemilczeniami t. zw. powszedniości życiowych (jakby istniały rzeczy banalne — dla *żywego* ducha). To znów czuć, że autora obowiązuje nastrój „górny i chmurny." Innym razem pewna ociężałość sprawia, że okrąża przedmiot zamiast go ugodzić w serce. Zdarzają się i pokusy krasomówczej krągłości, *bezwłady rytmiczne.* Gorszą jest zdarzająca się od czasu do czasu fizyczna inercya procesu pisania: autor, najwidoczniej na razie próżen myśli, kreśli słową nikłe i zbyteczne, czekając, w myśl maksymy, że „apetyt przychodzi *w miarę jedzenia,*" aż się dalszy ciąg cerebracyi nawinie.— Wspomnimy wreszcie o nałogowem „pijaństwie smutku," wiodącem

do sadyzmu wyobraźni, o upodobaniu w melancholii, która wedle moralistów jest najniebezpieczniejszem z sideł szatańskich; w języku codziennym tłomaczy się to jako ścieżka do abulii i zatrucie żywych sił wrażennych. Drobiazgi te jednak i niedopatrzenia giną w cudownym ogromie tych ksiąg bajecznych, w których jedna z najdrogocenniejszych dusz świata otwarła przed nami swój Sezam.

Brzask, przez Wacława Sieroszewskiego.—Ogólną cechą książki jest jej niezmierna widnokrężność, szeroki, wolny oddech pod ogromnem niebem, nad polami bez końca, ustawiczna komunikacya z czterema punktami kardynalnemi, z obłokami, puszczami, wodami...

Autor, równie jak Żeromski wrażliwy na „przyrodę," jest jego skrajnem przeciwieństwem w sposobie odczucia, wolnem od wszelkiego marzycielstwa, zapatrzenia. Tu przewagę zyskała nieustanna zmysłowa czujność, bystra ruchliwość uwagi, — jasne, błyskawiczne, przeszywające spostrzeganie, trzeźwość kompletnego obudzenia, zdolność absolutnego wyczerpania chwili bieżącej, dzięki doskonałemu aparatowi zmysłowemu, wyrobieniu moralnemu i niezwykłej inteligencyi.

Wszystkie te cechy skupiły się zwłaszcza w utworze p. t. „Dno nędzy." Jest to historya gromadki trędowatych w Syberyi wschodniej. Najczarniejsze przerażenia zdrowych i normalnych ludzi stały się tu codziennością; człowiek *doprowadzony do minimum* ogląda życie „z tamtego brzegu" i odkrywa, że „szczęściem i rajem straconym jest właściwie to pogardzane życie powszednie...", że w najprostszych jego zdarzeniach może być rzewna poezya, w najprostszych zadowoleniach niewymowna rozkosz. Przytem, ta na tło jeziornego krajobrazu rzucona gromadka Jakuckich paryasów jest zindywidualizowana z mistrzowstwem epika w wielkim stylu. Mergeń-ludojadka, Prąd-trędowaty pogański poeta, opowiadający cudne baśnie podbiegunowe małej nagiej Byterchaj, Anka — ofiara miłości małżeńskiej — wszystko to postacie niezapomniane, już nietylko wyborne rysunkiem, lecz jeszcze owiane najczystszem uczuciem ludzkości. W tej niesłychanej opowieści oglądamy życie chorych pędów człowieczeństwa, zachowujących jego niezniszczalne cechy aż do okrutnej śmierci przed gnicie i rozpadanie się ciała; całą tego tajemniczego rodzaju okrutność i dobroć, materyalizm i poezyę, nędzę i blask i wreszcie zagładę w płomieniach występku i paszczy apokaliptycznej bestyi — niedźwiedzia, pożerającego osłupioną ze strachu, małą, nagą Byterchaj...

Krucyata dziecięca, przez Marcelego Schwoba. — Ideą wyłaniającą się z utworu jest tragizm wiekuistego złudzenia Ludzkości.

Złudzenie to powstaje z antynomii „skorego ducha i mdłego ciała;" niecierpliwej nadziei a mozolnych dokonań. Intuicya rodzi się z duszy odrazu jak Minerwa; lecz realizuje się, uspołecznia ciężko, boleśnie i ułamkami. Idea-pragnienie ma prostolinijną bystrość strzału; lecz środowiska materyalne i społeczne bieg jej tysiąckroć załamują i szczerbią. Formuła ideału wyraża boską prawdę; lecz płodzi w życiu absurda, jeżeli, wziąwszy ją za hasło, nie opanujemy gruntu jej materyalizacyi. Entuzyazm „ma racyę," lecz jeśli się nie uprzenikliwi życiowo, wiedzie do zagłady. Prostym jest promień światla, lecz przebijając fale wód, przybiera kształt spiralny... O tej elementarnej prawdzie wie od wieków stara Ludzkość, i od wieków o niej zapomina, gdy w dniach wielkich zbiorowych egzaltacyj rozsądną jej powszedniość rozświeci jaki szczytnie bezmyślny fajerwerk rozpłomienionej intuicyi. Zapomina wtedy o swem zaklęciu w ciało, o swej naturze mieszańczej, o srogich koniecznościach materyi; zna już tylko dostojnego ojca-ducha, czuje już tylko skrzydła; przepadają „gorzkie a zbawienne" nauki doświadczenia; „rozum" jej gaśnie w łunie jasnych obłędów. Powstają „białe głosy" obnażonej, więzy łamiącej psychy. Ekstatyczni ślepcy ją prowadzą, świat realny ma dla niej tylko mistyczne znaki, z rąk mądrości berło przechodzi do majaczących dzieci. Równowaga bosko-ziemska zachwiewa się nawet u stróżów świadomości świata. Gnani tyraniczną suggestyą nadziemskich swych instynktów, szaleją hypnotyczni zapaleńcy, — a sroga Rzeczywistość smaga ich i tępi bezlitośnie, jako zjawiska bezpodstawne na tym świecie polowicznym. Chwiejne nawy z „krucyatą dziecięcą" dziesiątkuje burzliwe morze przesilenia; reszta idzie w pęta „niewiernych," którym odebrać miała Jeruzalem. Ale te dzieci „nie boją się wcale, bo nie widzą nic." Jedna tylko stuletnia czuwająca mądrość ojcowskiego serca krwawi się nad obłędem „ślepej wiary" i przed Sąd Boga, „który się nigdy nie objawia," pozywa „miraż nieba," który mu dzieci obłąkał i zagubił...

Oryginalność impresyonistyczną kompozycyi nasunął autorowi instynkt psychologiczny, ta dominanta współczesnego umyslu, usiłującego zoryentować się w nieskończonej względności zjawisk i wzbić się po nad nią w sfery (względnie) absolutne. Poczucie twórcze go nie zawiodło. Z oglądania *jedynego* faktu wskróś przezrocza dusz różnych (papieży, saracenów, dzieci, pisarzy, trędowatych, żebraków zakonnych) wytwarza się w naszej wyobraźni żywa wizya tego dziejowego zdarzenia-symbolu, ze skróconym lecz potężnie ewokacyjnym aparatem cech epoki i z ogromną, wieszczą, melancholiczną perspektywą na rzeczy człowieka i Boga-Niewiadomego.

Język cichy i prosty jak modlitwa. Tłómaczenie mistrzowskie, transpozycya twórcza na ton polskiej mowy.

Pałuba, przez Karola Irzykowskiego. — Pod znak powieści ciągną dzisiaj wszelkiego rodzaju mistrze i ochotnicy Wiedzy, niedoszli lub przyszli historycy i socyologowie, kronikarze i zbieracze „dokumentów," psychologowie i psychiatrzy, utopiści i wynalazcy, eksperymentatorzy i twórcy hypotez, — natury zbyt wielostronnie bujne, albo zbyt żywiołowo-intuicyjne, by się wypowiedzieć chciały, mogły lub umiały w specyalnych i suchych monografiach. Dla tych wszystkich *odkrywców,* dla tej awangardy postępu, powieść „jest czemś nie jednolitem, ale naczyniem na różne treści, prowizoryczną, pomocniczą jedynie formułką dla pewnych dążeń..." Taką pseudo-powieścią jest „Pałuba," dzieło nieodwołalnie poronione jako całość artystyczna, lecz nader ważne i ciekawe jako samodzielna próba *stenografii* i *mikrografii duchowej.*

Nie udało się autorowi pisanie jakoby *na dwie ręce,* prowadzenie jednoczesne i równoległe akcyi zewnętrznej i duchowej, statecznego łańcucha faktów i kapryśnej gmatwaniny psychicznej. Drobiazgowe notowanie cerebracyi bezpośredniej, przy wrodzonej mozolności słowa i nadmiarze myślowych skojarzeń, pochłania nieproporcyonalnie wiele czasu i miejsca, oddala od kręgosłupa idei, wikła autora w nawiasy, wtrącenia i odsyłacze, odbarwia fakty. Część winy spada na metodę ekspozycyi: jednostajnie, aż nużąco analityczną, podczas gdy zjawiska zwłaszcza nieświadome znajdują o wiele głębszą ekspresyę w *impresyonizmie,* w skrócie barwnym. Nadmiar tłómaczeń zaciemnia sprawę... i nic tak nie wyjaśnia rzeczy— jak rzecz sama, naga.

Autor ułatwił sobie zadanie (drobnowidztwa wiwisekcyjnego) wyborem typu: ominął organizacye spójne, zoryentowane, „całe," jak mówią francuzi, — i wziął duszę o życiu nadwątlonem, w której procesy składowe biorą górę nad syntetycznym (jak w trupie). Strumieński jest wszechstronnym wykolejeńcem, znieprawiającym się w leniwej samotności, dającym ujście swej zasypiającej energii w tyranii i kabotynizmie wiejskiego intelektualisty, w gnuśnych eksperymentach hypnozy, fantazyach „satanicznych," pospolitych miłostkach i złośliwościach rozjątrzonej nudy (pierwszy stopień sadyzmu). Takiem przynajmniej jest wrażenie czytelnika, choć tu i owdzie przebijają inne względem tej postaci intencye autora.

Ale też nie w wartości moralnej „bohatera" i nie w dziele jako całości znajduje się punkt ciężkości tej ciężkiej księgi. Tkwi on w „ubocznych produktach" nieudanego aktu twórczego: w bajecz-

nie subtelnym materyale zebranych spostrzeżeń, w genialnych błyskach intuicyi, w trzeźwym sceptycyzmie obserwatora, obnażającego wszystkie auto-szalbierstwa i „szmery“ nieświadomości, cały proces *nutrycyi* psychicznej, „tajemnice intelektualne i technikę zdarzeń.“ Świetne aforyzmy, niesłychane skojarzenia myśli, olśniewające uwagi robią z tej niezdarnej *powieści* księgę pochłaniającą i niezapomnianą; w ich imieniu przebacza się autorowi wszystkie jego pedanterye, a nawet i snobizmy...

Co do „Snów Maryi Dunin,“ jest to niefortunna parafraza Poe'go. I tu jednak, wbrew absolutnemu brakowi talentu kompozycyi i opowiadania (ujmowania życia), uderza i olśniewa zdolność uogólniań spekulatywnych i przemożny instynkt rzeczy utajonych. Sposób pisania jest tu wprost przeciwny jak w „Palubie,“ która wydaje się reakcyą *mówienia wszystkiego* po fazie metody *przemilczeń*. Żadna z tych metod nie odpowiada temperamentowi autora, skazanemu na dalsze poszukiwanie formy. Znalazłby ją może (opuściwszy otwarcie powieść—której swobodne ramy zawsze jednak obowiązują do pewnego epizmu) —w „essai'u“ filozoficznym choćby à la Nietzsche, który tak niewątpliwy wpływ wywarł na jego umysł.

Czciciel potęgi, przez Elizę Orzeszkową. — Jest to powieść z tezą, czyli pokaz dydaktyczny, ilustrowane rozumowanie. Powtóre teza ta jest niemoralną, ba fałszywą, uwodzącą pozorami prawdy, ukutemi *ad hoc*. *Najpotężniejszy musi być najlepszym*, a jedynie gmatwanina spraw żywota może tej oczywistej prawdzie kłam zadawać, co uczyniła i szanowna autorka.

Teza przytem powieść tę ukształtowała, robiąc ją monoideową, sprawiając jej docentryczność sztywną, kurczową niemal, bliskocelną i ubogą, gdyż rozgałęzianie pojęć mogło pokpić sprawę, której tu proces wytoczono z tym jednym zamiarem: wygrania jej. Dokoła szkieletu-twierdzenia grupują się obrazy-dowody; z bogactwa życia usuwa się jego boskie przeciwieństwa, zostawiając jedynie to, co służyć może za akcesorya. Żadnych epizodów, dygresyj, przelotnie bodaj roztwieranych żywiołowo perspektyw. Zewsząd wyczuwamy prostolinijność doktryny i strategię obywatelską; artyzm jest jeno okrasą, formą propagandy, archeologia — transpozycyą jedynie.

Przytem ta strona starożytnicza jest traktowana nieco naiwnie, po gospodarsku; Libya np. zanadto przypomia St. Cloud, pani Gorgo — grodzieńskie Chaje i Chaity. Znać kobietę-profankę w rzeczach erudycyi klasycznej, pośpieszne samouctwo (które, jako wypływające ze świadomości własnych braków, jest zawsze trochę —

spóźnione...), niezdolne zastąpić oddychanie od dziecka kulturą, która dotąd jest przeważnym udziałem mężczyzny.

Zkądinąd, w skutek swej natury wrodzonej czy nabytej, kobieta obraca się w ciaśniejszem kole doświadczeń, jest pastwą grubszych złudzeń, dłużej w nich przebywa, wiele jej władz pozostaje w uśpieniu lub ociężałości — z własnej winy lub winy czasów. Takim często niezbudzonym zmysłem jest poczucie grotesku. W życiu zwykłem, od fiasca ratuje ją często bierność lub milczenie. Ale w twórczości demaskuje się cała — a wtedy...

Na ogół biorąc, talent Orzeszkowej ma dużo z Cybeli, której uroczystość opisała z całą plastyką i przepychem swego bogatego, płodnego, karmiącego i ciężkiego talentu. Skrzydlata swoboda wyobraźni, gra intelektualna, precyzya tonu są jej nieznane. Dziwna, a może i nie dziwna jest wobec tego częsta, zbyt częsta sofistyczność jej pióra...

Lord Jim, przez Conrada (K. Korzeniowskiego). — Książka przedziwna, niezwykłej treści i artyzmu, roskosz dla trochę bodaj wybrednego czytelnika. Jest to dramat „bohaterskiej imaginacyi,“ „żądzy sławy większej, niż barki unieść zdolne,“ pół-bezwiednej megalomanii, „wyidelizowanego egoizmu;“ albo inaczej: proces, w jednostce, *imperatywu doskonałości*, który w swej najwyższej człowieczej egzaltacyi staje się imperatywem *próby śmierci*... nieustraszonego, dobrowolnego salto mortale...

Autor jest człowiekiem kulturalnym w stopniu u nas niemal niedoścignionym, artyzm jego wytrawny, wybredny, absolutnie sobą władający, mądry, czujny, intelektualny, stoi na wysokości najwyższych angielskich mistrzów powieści (np. Meredith); goni prawdę w załamach światłocieniowych, uchwytnych tylko dla „wiekuiście uważnych,“ czujnych: w szlachetności indywiduacyi, obcej grubym truizmom, w mgnieniach, przebłyskach, we „wrażeniach psychicznych,“ odczytywanych przez mózg momentalnie, z pominięciem, rzecby można, ich zmysłowego głoskoskładu... Kocha się w paradoksalności zjawisk, uszlachetnia słowa zwykłe nadzwyczajnem zestawieniem, którego wymaga jego nad-subtelna cerebracya, rozkłada rzeczy napozór nierozkładalne, zawiłe nad niemi robi doświadczenia i odbudowywa je, stokrotnie, zdumiewająco, nieprzeczuwanie wzbogacając. Dodajmy bezkreśne perspektywy świadomości zupełnej, „całej liry“ człowieczeństwa, i piękny, mądry uśmiech dojrzałości wobec przedziwnych naiwności rzeczy przeżytych... Dodajmy nieustanny wzgląd na czytelnika: nie jest to „sobie śpiewający“ improwizator, lecz świadomy działacz słowem, strategik wrażenia, Machiavell wciąż liczący się

z naszym punktem widzenia, ze stopniem napięcia naszej uwagi; chytry i wymyślny amfitryon uczty intelektu, lubujący się w pozornym a głęboko skomponowanym bezładzie, magik oszołamiający widza szybkiemi obrotami jednej i tej samej a coraz inaczej kształtującej się bryły zjawiskowej, mistrz pointe'y. Nienajmniejszym urokiem powieści jej jest charakter „kolonialny.“ Ojczyzna rozszerzyła się tu na cały glob — i śmiały, wypukłopierśny, bystry lot wędrownego ptaka, szeroką i mężną swobodę obywatela świata, człowieka wyzwolonego, czuje się tu aż do rdzenia w biegu jasnej myśli, w rozwijaniu się obrazów, w szlachetnej flegmie i wszechżyczliwości...

Gospoda pod Królową-Gęsią-Nóżką, (raczej *stopką*), przez Anatole'a France. — Znakomita parafraza staroświeckich awanturniczych opowieści francuskich w rodzaju Le Sage'a, zmodernizowana w magicznym tyglu intelektualizmu paryskiego. Autor, w przeciwieństwie do Verlaine'a, dochodzi do najwyższego artyzmu prostoty nie przez odrzucenie „literatury“ (dla wrażliwców zawsze niestrawnej), lecz przez najszersze jej przyswojenie i owładnięcie; erudycya, ta rzekoma kula u nogi wyobraźni, rozszerza mu skrzydła fantazyi, lekkiej, olśniewającej dowcipem, zaostrza jego intuicyę barwy epoki, wzbogaca nieprzebrany humor jego duszy nieśmiertelnie pogodnej, gallo-platońskiej (jeśli tak rzec można). Stylem wstrzemięźliwym (sobre), lotnym, niepochwytnie dosadnym, podobnym do gry iskier elektrycznych, stylem „bez jednej chwili słabości,“ wywołuje przed oczy nasze niezapomniane postacie sprośnych mnichów, szalonych i praktycznych wietrznic, naiwnych łobuzów, sylenowatych mędrców, rozpustnych szlacheckich brutali, brudnych talmudystów, uczonych kuglarzy... zanurza ich w mieniącej się nieustannie atmosferze jakiegoś intelektualnego zaczarowania, błyska przed nami ich mądrością i szaleństwem, ich cnotą i występkiem, nieodgadnioną dwulicowością natury; zaprowadza między nimi nieprawdopodobne dysputy, dobywa z nich niesłychane autoparodye, co chwila kojarząc absurd z głęboką prawdą, ironię z rzewnem westchnieniem, „anioła“ z „bestyą.“ Z tych fantasmagoryj intelektu, z tego dyalektycznego tańca wśród mieczów, czytelnik wychodzi z duszą dziwnie rozjątrzoną, pokłutą jak od mnóstwa niewidzialnych szpad, rozbudzony i rozchwiany, otrząsając się z niewiadomego zaklęcia, „omanu,“—wielkim, barbarzyńskim głosem udręczenia wołając o wyzwolenie od tych sideł zbyt subtelnych, zbyt — ucywilizowanych, wołając o klucz mistyfikacyi, o nić Aryadny, coby go w tym labiryncie utrzymała w komunikacyi ze zwykłą, znajomą mu prawdą o logice czynów, o rozumności życia, o niezawodnej powadze pewnych, najwyż-

szych typów człowieczeństwa. Powiewna i lekka igraszka myśli żartobliwie-głębokiej ukrywa tu przed nami otchłań zagadek groźnych; działa tu może i stara zawistna melancholia zwierząt ciężkich i niemrawych, gdy je swobodny lot ptaków zachwyci. Lecz niewątpliwie smuci się w nas, wobec tych sceptycznych znieważeń, stary, dziki instynkt nieskazitelności idealnej, czy poprostu jednolitości, który się buntuje, gdy mu powiadają, że jego bogowie „są czcigodni zarazem i nędzni."

Sezonowa miłość, przez Gabryelę Zapolską.—W swym pstrym kinematografie autorka suggestyonuje życiodajny wpływ flirtu na temperamenty limfatyczne. Rzecz zyskałaby na głębi, gdyby autorka skomplikowała akcyę równomiernem rozwinięciem jej w obu partnerach, nie robiąc, jak to uczyniła, z „budziciela" prostego *repoussoir*'u dla „budzonej." Los, który usidlił „bohaterkę," powinien był mieć zasadzkę i na „bohatera." Tak chce stary i nikomu nie przebaczający smok Życia, tak chce i Sztuka. Ale na tę sprawiedliwość może nie stać autorkę, doskonałą malarkę kobiet, lecz zawsze niedostateczną, powierzchowną w typach męskich, zawsze szarżowanych.

Romans ten *dziełem sztuki* nie jest, sprzeciwia się temu jego zasadnicza *płochość* (nie treści, lecz ujęcia). Zastanawia jednak nieprzeciętnym talentem fotografii migawkowej, który znakomicie pochwycił *zapach* lata w Zakopanem, a do wyżyn artyzmu wzniósł się bajecznie wypukłą postacią „gazdziny."

Na srebrnym globie, przez Jerzego Żuławskiego.—Fatalizmem autora jest echowość, epigonizm, brak absolutny inicyatywy twórczej, daremne szukanie swego szlaku na cudzych drogach. „Na srebrnym globie" jest nieudaną choć staranną parafrazą fantazyj naukowych, z echami „Anhellego." Ale niedostatek pomysłowości technicznej, fantazyi awanturniczej i poezyi zrobiły z tej wyprawy na księżyc — nudny a w ustępach miłosnych obrzydliwy romans, upiększony tylko tu i owdzie pięknym lecz powtarzającym się pejzażem. Zabójcze są dlań ewokacye Verne'a, Poe'go i Wellsa. Plan—jak zwykle u autora—jest szeroki, ale nie na sposób poetycki, natchnieniowy, lecz uczony, szematyczny. Przypomina spis treści książek socyologicznych... Są w nim najnowsze hypotezy naukowe, brak antycznej twórczej syntezy, niema *intuicyi.* Z nagromadzonych materyałów do zobrazowania psychosocyologicznych dziejów Człowieka po przez gwiazdy nie trysł nigdzie płomień prawdy *artystycznej.*

Pan Filip z Konopi, przez Kazimierza Glińskiego. — Autor

z przysłowiowego nazwiska stworzył postać polskiego Bayarda, lwa z sercem gołębiem, i rzucił go na tło epoki „Trylogii“ Sienkiewiczowskiej, której ta fantazya historyczna jest jakby uzupełnieniem rodzajowem. Autor niejako do ostatnich granic rozmachu, junactwa, jowialności, pantagruelizmu i beztroski doprowadził tężyznę Kmiciców i zabawność Zaglobów, natchniony w ich kreśleniu przez atawizmy swej brawurowej organizacyi. Tym poszeptom fantazyi rycerskiej, nieposkromionego humoru, szeroko rozśmianej ochoty życia, żywiołowej poezyi instynktów, miłości barw, zgiełku, przepychu, oddał się autor całkowicie, zapamiętale, poświęcając im bez namysłu prawdę życiową a czasem i artystyczną, wpadając chwilami w farsę, to znów dla efektu popelniając ogromne niemożliwości... (król na ślubie np., albo popas 2 tygodniowy w gaju). — Gliński jest naturą bardzo jednolitą, ale talentem niewytrawnym, wciąż młodzieńczym; nie zna frasunku o kompozycyę i cieniowanie, źle rozmieszcza punkty ciężkości i wciąż gra *forte*. Nawet ogólna idea utworu rozwija się przypadkowo, w pełnym biegu pisania. Ztąd nierówność i niespodzianki. Bohater powieści, przez trzy czwarte dzieła serdeczny szaławiła, w ostatnich dopiero rozdziałach wyrasta na posąg ze śpiżu. Głębia moralna ostatnich jego czynów dziwi czytelnika i wytwarza w jego umyśle łamanie się postaci. Autorowi nie chciało się spóźnionej głębszej koncepcyi rozszerzyć na karty już napisane, — i jakby w dopisku dal rzecz najważniejszą. Szkoda to prawdziwa.

W pryzmacie, przez Jana Augustynowicza. — Rdzeń talentu autora wciąż jeszcze śpi. Ztąd wynika, że choć w pewnych, że tak powiemy, jego okolicach, pogłębił się znacznie, streścił i uświadomił artystycznie, na ogół jednak żyje suggestyami i parafrazami — inteligentnemi, zresztą, — cudzych rytmów, form i motywów. I tak, „W lesie“ rządzi *zadumanie* Żeromskiego, „Porankiem“ ma punktuacyę Altenberga, „W przelocie“ pożyczyło demonicznego człowieka we fraku od Hoffmana czy Heine'go. Niektóre jednak drobiazgi oddychają już większą bezpośredniością: „Epizod“ pachnie złowrogo rzezimieszkami; „W nastroju“ jest doskonale nastrojone erotycznie; „Historya o grajku“ aż dławi ohydą szynków i „szantanów.“ Są to, zdaje się, zwiastuny bliskiego już rozkwitu w pełnię twórczej siły nowelisty obyczajowego, o zacięciu cierpkiem i gryzącem.

Kapitan Wörse, przez Aleksandra Kiellanda. — Obrazek z życia nadmorskiej mieściny skandynawskiej, w której nieco gruby spokój wnosi ferment, dla niektórych fatalny, purytańska i pół-obłudna sekta religijna „obudzonych.“ Zaleca się charakterystyczną pro-

stotą i subtelnem niekiedy, a szkicowem cieniowaniem, uwypuklającem barwę lokalną, zajmującą. Nigdzie zresztą nie przekracza granic poprawnej mierności.

Mrok, przez Adama Krechowieckiego. — Jedyną i decydującą dla nas wadą książki jest brak talentu powieściowego. Autor zdaje się nieodpowiednio zużytkowywać swą inteligencyę, erudycyę historyczną i łatwość piśmienniczą, zmuszając je do pracy *wyobraźniowej*. Skutkiem tego nietaktu są psychologiczne i dramatyczne szablony i nieodstępna od nich — nuda.

Biuraliści, przez Bolesława Biernackiego. — Licha próba zobrazowania stosunków biurowych. Autor nie włada obserwacyą świadomie celową, mogącą od biedy zastąpić brak bezpośredniej wrażliwości, i woli operować utartemi fałszami beletrystycznemi; fabułą jest zwykła, drobna „Panama."

Jasne wody, przez Edwarda Paszkowskiego.— Mizerny „dziennik duszy" „moderne." Śladami możliwego w następstwie talentu są: wybór środowiska samodzielny (zarząd wielkich dóbr), tu i owdzie żywsze tętno stylu i barwniejsze słowo, w końcu kilka stron realistycznych niezłych. Autor powinienby pomyśleć o gruntownej powieści *społecznej*.

Kaukaz czyli ostatnie dni Szamyla, przez J. Gordona. — Zaletą opowiadania jest barwny i bujny temat. Robota autorska znamionuje wrażliwy lecz kunsztu pisarskiego nieświadomy dyletantyzm. Są tu jednak stronice zajmujące i barwne, tam mianowicie, gdzie żywość przedmiotu zwalczyła nieudolność artysty. Sympatyczny jest w autorze zapał, lecz przejawia się zbyt naiwnie (transfuzya w rzecz samą nie nastąpiła) i występuje samopas, tyradami, zamiast tętnić w treści.

Właśt.

VARIA.

CHOPIN, wielki poeta tonów,

> ... *ten, co Polskę głosił, od zenitu*
> *Wszechdoskonałości dziejów*
> *Wziętą, hymnem Zachwytu —*

nie może w ziemi rodzinnej doczekać się pomnika. Przed kilku laty pozwolono go wznieść w Warszawie, ale snadź zadarmo, z powietrza, cudem, jednocześnie bowiem zabroniono zbierać publicznie składki na jego budowę. Zakaz ten w dniach ostatnich dopiero uchylony został, w chwili dla *składek* na pomnik *artysty* wyjątkowo

niepomyślnej, bo w czasie rzeczywiście wielkiego pod względem materyalnym wyczerpania, i razem w momencie zapomnienia o wszystkiem, co nie jest walką partyjną lub polityką. Składki mimo to popłyną niezawodnie (za głęboko ten czarodziej sięgnął w serca i dusze rodaków), ale powolniej niewątpliwie, niż w innych okolicznościach. Może to i lepiej. I komitet i rzeźbiarze powołani będą mieli więcej czasu do zastanowienia się nad powagą i wielkością zadania. Bo hańbą byłby drugi pomnik wartości Mickiewiczowskiego, a przyznaniem swej bezsilności — jakaś rodzajowa, półkolista ławeczka z biustem czy posągiem, skopiowana z luksemburskiego ogrodu czy z parku Monceau...

J. M. DE HEREDIA odszedł, żegnany we Francyi cudownemi poetów głosami. W przeglądzie *le Feu* (1/XII 1905) ukazał się „Hołd" zbiorowy jego pamięci, pod którym czytamy nazwiska L. Dierx'a, Sully-Prudhomme'a, de Regnier'a, Verhaeren'a, S. K. Leconte'a i innych. Oto kilka wierszy z Dierx'a:

Celui-là dort tranquille en sa gloire. Il a pu
Opposer à la mort d'un geste interrompu
L'émail éblouissant de son oeuvre...
— — — — — — — — — — — — —
Un linceul de splendeurs le garde et le revêt
De tous les radieux éclats dont il rêvait
— — — — — — — — — — — — —
... et l'écho répercutant son nom
Le fait bruire ainsi qu'un lumineux Memnon.

U nas uczczono nie poetę, lecz „członka Instytutu", wielkość patentowaną. Świadczy o tem fakt, iż najpanegiryczniejsze a pełne komicznych potknięć się [1]) nekrologi i felietony ukazały się w pismach zajadle zazwyczaj zwalczających nielubianą w Warszawie „sztukę dla sztuki", której Heredia żywem był uosobieniem. Dowodzą tego również wzmianki zdawkowe lub zupełne milczenie o M. Schwobie i H. Rebell'u, których zgon niemniejszą dla literatury francuzkiej był stratą, ale którzy nie posiadali przystawki *de l'Institut.*

FLORENCKIE TOWARZYSTWO „LEONARDO DA VINCI" uczciło wspaniale pamięć swego wielkiego patrona, systematycznym szeregiem odczytów, mających oświetlić różne z kolei cechy tego ducha nadludzko wielostronnego. Chlubne zadanie rozdzielono między najlepszych znawców i miłośników genialnego twórcy. We „wstępie", *E. Solmi,* autor doskonałego studyum o Leonardzie i wydawca

[1]) Jeden z felietonistów robi Heredię uczniem Villiers *de L'Isle* Adam'a (zamiast Leconte *de Lisle*'a); drugi, pasując niezrównanego *plastyka* na *myśliciela* i filozofa, sprawia — dla *repoussoir*'u — łaźnię „bezmyślnemu (!!) parnasiście" Leconte de Lisle'owi. Niech żyje pewność siebie!

jego „*Fragmentów literackich i filozoficznych*“, opowiedział z wielką erudycyą historyę życia i dzieł autora *Wieczerzy*, oraz losy jego rękopisów. Potem mówili z kolei o genialnym Winczyaninie: *M. Reymond*, profesor uniwersytetu w Grenobli i słynny znawca sztuki toskańskiej, — jako o uczniu Verocchia; *A. Conti*, jeden ze zwiastunów i proroków kultu leonardowskiego, — jako o malarzu; *A. Favaro*, głośny badacz historyi nauk,—jako o prekursorze w dziedzinie wiedzy doświadczalnej; *F. Bottazzi*, z uniwersytetu Genueńskiego,— jako o znawcy biologii i anatomii; *W. Spinazzola*, dyrektor neapolitańskiego muzeum ś. Marcina, — jako o architekcie; *B. Croce*, słynny krytyk neapolitański,—jako o filozofie; *I. Del Lungo*, historyk literatury i subtelny znawca prozy włoskiej, — jako o pisarzu. Wreszcie, w zakończającym seryę „epilogu“, *J. Peladan*, genialny mistyk francuzki, — poddał głębokiemu rozbiorowi istotę twórczości Leonarda, zwracając uwagę na dajmoniczne jej cechy. Zapowiedziana konferencya *G. d'Annunzia* „O życiu wewnętrznem Leonarda“, która w pamiętających pełny głębokiego wczucia się poemat *Per la morte di un capolavoro* wielkie obudziła zaciekawienie, nie doszła do skutku z powodów niewiadomych.

Jak widzimy, serya odczytów nie była może dość zupełna i wyczerpująca; pewne luki i braki odrazu rzucają się w oczy. Tłómaczy wszakże organizatorów trudność znalezienia odpowiedniej ilości prelegentów, łączących w sobie kapitalne znawstwo przedmiotu z talentem konferencyjnym. Z innej strony — mimo starań o najpowołańszych znawców w każdym zakresie — nie wszystkie odczyty stały na wysokości zadania. Konferencye Bottazzi'ego i Favara grzeszyły ogólnikowością oraz pewnym doktrynalizmem naukowym. Reymond z nieco płytką paradoksalnością podnosił wartość mistrza na koszt ucznia. Przypominało to podobne — przed laty dziesięciu — zapały francuzkie dla Luini'ego, również na niekorzyść Leonarda. Croce'go żądza oryginalności *à tout prix* zaprowadziła w zaułki ciasnego pedantyzmu i... niekonsekwencyi jednocześnie.

Większość odczytów atoli była pierwszorzędna i odpowiedziała godnie zamiarom inicyatorów. O Solmi'm już mówiliśmy. A. Conti, odrzuciwszy wszelką drobiazgowość krytyczno-historyczną, starał się w potężnej ewokacyi przelać w słuchaczy te wzruszenia, jakich sam doznawał przed trzema arcydziełami mistrza: *Wieczerzą, Pokłonem magów* i *Giocondą*, poczem — poddawszy obszernemu rozbiorowi rysunki Leonarda — udowadniał głęboko i dowcipnie, jak dalece tenże w różnych przejawach swego geniuszu był przedewszystkiem — malarzem. — Del Lungo — na podstawie zwięzłego lecz wy-

razistego przeglądu prozy włoskiej od zaczątków aż do Galileusza, oraz licznych cytat z rękopisów Leonarda — uwydatnił przejrzyście, jak bardzo ten „omo sanza lettere“, nie troskając się o formę i poddając jeno rytmowi własnej myśli, odczuwał jednak nieświadomie wpływ humanistycznego otoczenia i jak łatwo, gdyby był chciał, mógłby pod względem pisarskim wyprzedzić Galileusza. — Jedną z najpiękniejszych była konferencya Spinazzoli, pokrewna poniekąd w poglądach ciekawej a mało komu znanej u nas rozprawie J. Bołoza Antoniewicza p. t. „Świątynia zagadkowa Leonarda da Vinci“. Zaznaczywszy, iż badacze niesłusznie poświęcają zazwyczaj niewiele miejsca i czasu temu działowi twórczości Leonarda, i przebiegłszy pokrótce oficyalne jego tytuły do miana inżyniera oraz budowniczego (roboty hydrauliczne i fortyfikacyjne), prelegent rozebrał szczegółowo opisy i rysunki architektoniczne, rozrzucone po manuskryptach jego. Mimo szkicowości wykonania, są to rzeczy kompletne aż do szczegółów, gotowe do wcielenia plastycznego. Znajdujemy śród nich: idealny dom dzisiejszy, potężną świątynią centralną (cały szereg projektów), nowy zupełnie typ kolosalnej, amfiteatralnej świątyni do kazań (teatro da predichare), gigantyczny pomysł mauzoleum świeckiego, wreszcie wspaniałą wizyę całego nowego miasta, naszkicowaną aż do szczegółów, aż do rozkładu ulic i konstrukcyi budynków. Przejrzyście i z wielką potęgą kolorytu uwydatnił Spinazzola całe piękno, całą jedyną w dziejach architektury okazałość tych dzieł przedziwnych, które czynią z Leonarda jakiegoś zdumiewającego, olbrzymiego prekursora czasów, zrywającego z wszelkiemi tradycyami przeszłości, jakiegoś brata ludzi dzisiejszych, a w większości pomysłów brata tych, którzy dopiero kiedyś po nas przyjdą.— Peladan, po zbytecznych wogóle, a zwłaszcza wobec powyższego, żalach, że Leonard nie ograniczył się do malarstwa, lecz rozpraszał w innych dziedzinach, — z wielkim polotem, wczuciem się i głębokością uwydatnił spirytualizm wyrazu jako główną cechę jego arcydzieł. Oczy Monny Lizy nie są oczyma kobiety; są to oczy Leonarda spoglądające w wieczność. Długo — mówił prelegent — starałem się nadaremnie przeniknąć tajemnicę tego spojrzenia. Aż — wpatrując się w sfinksa czuwającego nad pustynią afrykańską—zrozumiałem nagle Giocondę. Dwa te uśmiechy są identyczne, są tym samym uśmiechem myśli czystej, który niby promień przebiega wieki.

Wszystkie odczyty wydane być mają niezadługo w jednej księdze zbiorowej.

CHIMERA.